OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.
Numer pojedyńczy Mk. 900.000.

ŚWIAT

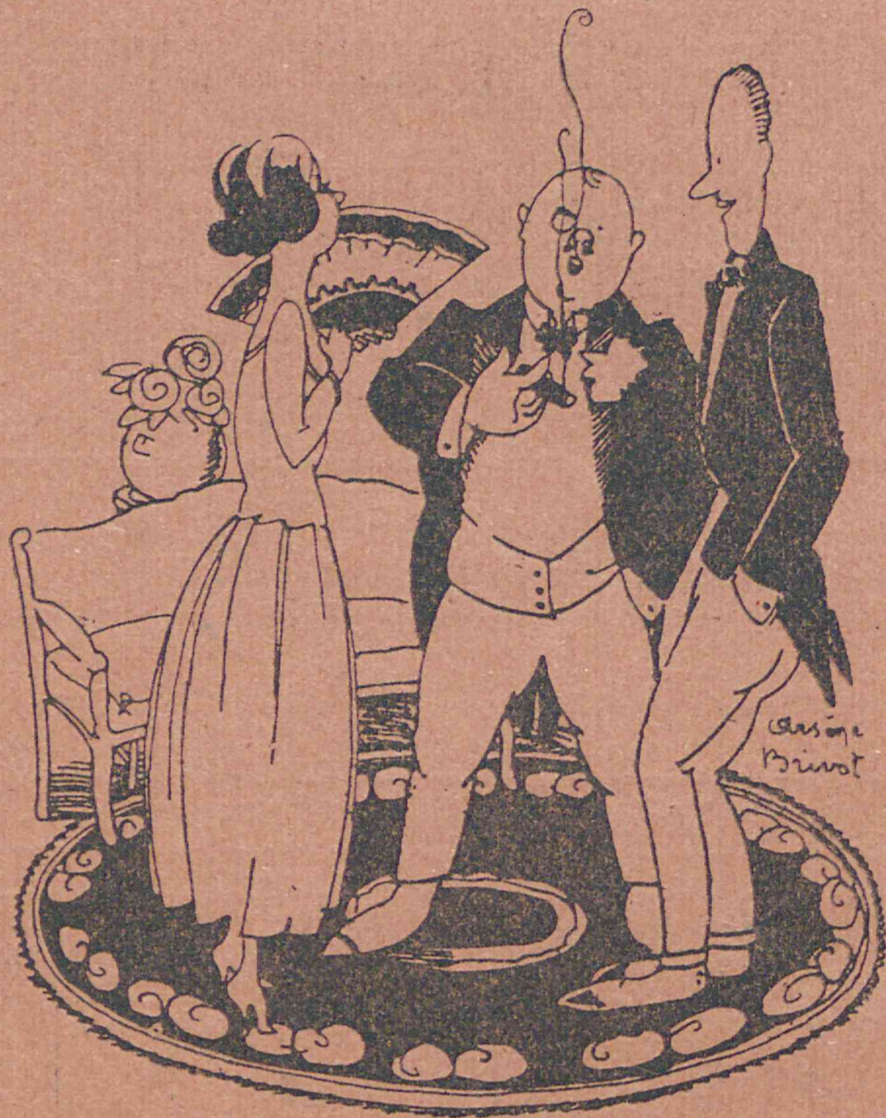
PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 12 stycznia 1924 r. № 2.





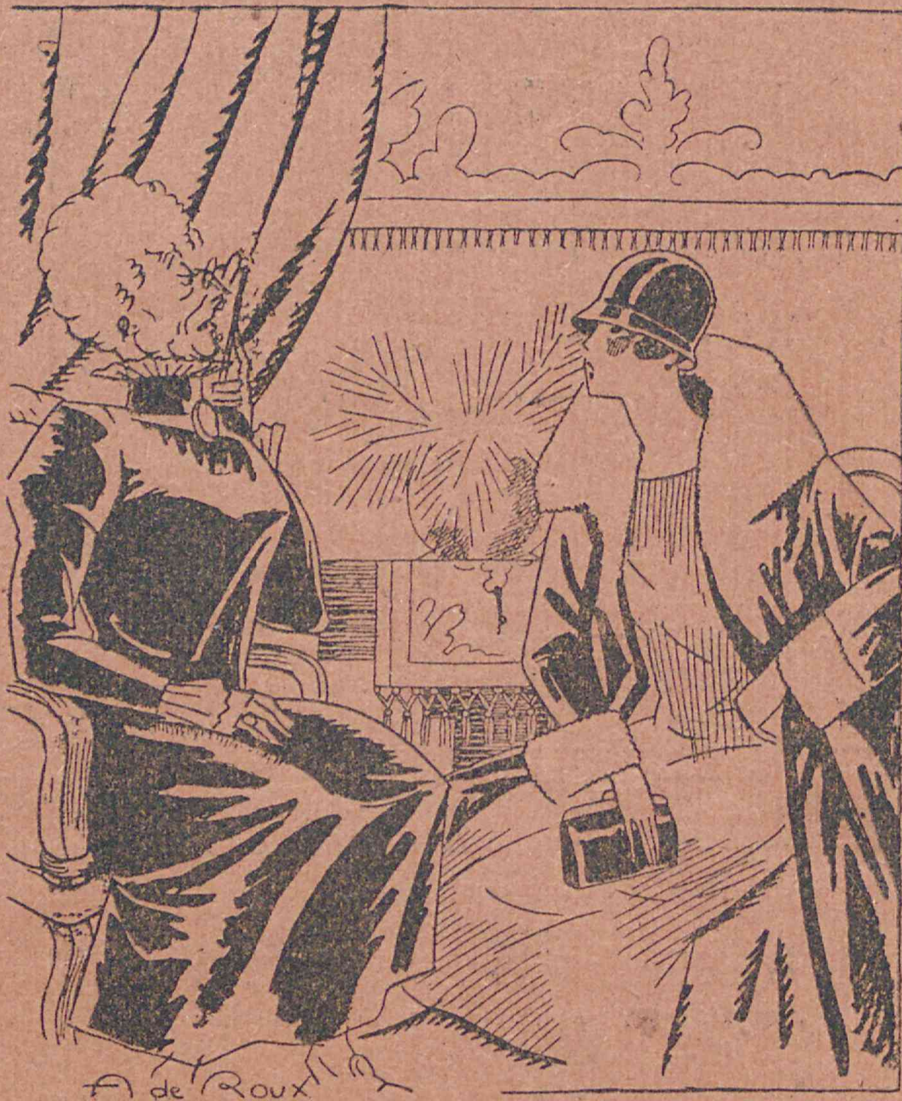
POWOJENNE PANNY.



— *On myśli tylko o pieniądzach.*

— *Ja gotowa byłabym podzielić te jego myśli...*

(„Le Rire").



— *To bardzo nieprzyzwoite, moja droga, brać ślub w dziewięć miesięcy po śmierci męża.*

Młoda pani pokornie.

— *Przepraszam, ciociu. Już drugi raz tego nie zrobię.*

(Le Rire).

Jeszcze na temat „tańców nowoczesnych".

Ankieta nasza, umieszczona w ostatnim (№ 1) zeszycie „Świata", wywołała żywe zainteresowanie. Świadczą o tem listy, które redakcja nasza otrzymała zarówno od zwolenników, jak i od przeciwników nowych tańców. Jeden z zapalonych wielbicieli *shimmy*, we wszystkich jego odmianach, nadesłał nam szereg uwag, z prośbą o umieszczenie ich w „Świecie", jako że uzupełniają one poniekąd naszą ankietę. Zważywszy czas karnawałowy, nie odmawiamy miejsca tym uwagom.

Nasz korespondent pisze:

— Cechą zasadniczą dzisiejszych tańców—a chyba i zaletą zarazem—jest niedopuszczalność tańczenia ich źle lub chociażby niezbyt zgrabnie, gdy polkę i walca można było tańczyć, jak mawiano w Rosji: „*na ura!*". Nieodzowne jest też dziś bezwzględne poczucie rytmu wogóle, a rytmu tańców nowoczesnych w szczególe. Owej zręczności i muzykalności można się jednak nauczyć (jak np. nauka *solfeggio* umożliwia nawet osobom, nie posiadającym głosu, prawidłowe odtwarzanie dźwięków muzycznych). Wyrobienie tych dwóch zalet, na które w innych warunkach może nie zdobytoby się, już jest wielkim plusem tańców dzisiejszych.

Silna rytmiczność ich — wymaga koniecznie *jazz-bandu*, który, odbijając perkusjami rytm, ułatwia tancerzowi jego zadanie, dopomaga mu przy lawirowaniu poprzez zawiły i powikłany niekiedy labirynt dźwięków.

Dla tego zrytmizowania *jazz-band* jest równie nieodzowny, jak zbyteczni są przy nim murzyni. Zadania jego wyłącznie taneczne z właściwą muzyką się nie krzyżują wcale, idąc drogą zupełnie odrębną.

Pozostaje kwestja „przyzwoitości". Należy stwierdzić, że tańce nowoczesne są uprawiane z zapałem w najwytworniejszych ogniskach rodzinnych Zachodu, i to w sferach najbardziej konserwatywnych. Z czego bynajmniej, oczywiście, nie wynika, aby młoda panienka, wstępująca w świat, miała odrazu wędrować do mniej lub więcej podejrzanych nocnych dancingów w restauracjach warszawskich i zakopiańskich. A i same tańce nie mają więcej właściwości erotyczno-pobudzających, niż poprzednie, a nawet — tak jest! — wprost przeciwnie. Zetknięcie się tancerza z tancerką dziś wcale nie jest bliższe, niż przy walcu, krakowiaku, mazurze, czy oberku. Wszystko zależy od tańczących. Wirowanie zaś — wiadomo powszechnie—o wiele bardziej podnieca, niż posuwista promenada tańców dzisiejszych. Porzucono wirowanie przecież nie z tego powodu, a poprostu,— ponieważ zbyt męczyło i wyczerpywało. Że je porzucono radykalnie, świadczy zupełny upadek na Zachodzie *Javy* (u nas nagle bardzo modniej), przetransponowanej na nowy fason polki-mazurki. Przeciwnie, w Paryżu i Londynie wciąż jeszcze utrzymuje się dążenie do prostoty i zwalniania tempa; tem tłómaczy się przejście od wężowych splotów tanga argentyńskiego do *tango-milonga* i stopniowe przekształcenie się *shimmy*, coraz wolniejszego, w zupełnie niemal na miejscu tańczony *camel-walk*. Wszystkie te tańce dają szerokie pole do indywidualnej fantazji, do popisywania się gracją i wytwornością ruchu, do tworzenia na lustrzanej posadzce pięknych poemacików tanecznych ku swojej i widzów rozkoszy.

H. L.

CO JEST POTRZEBNE, BY ZOSTA. DOBRYM MYŚLIWYM.



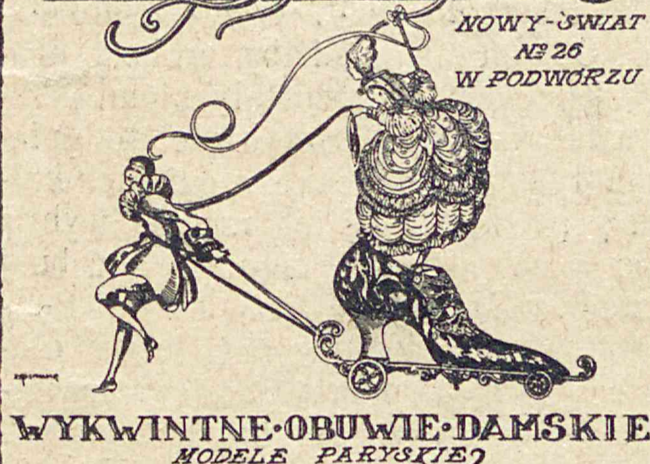
Na to, by polować, potrzeba... | *...mieć dobrą dubeltówkę* | *...i psa z dobrym węchem* | *i jeszcze lepsze nogi* | *...no i dużo pieniędzy na kupno zwierzyny.*

Cena niniejszego numeru Mk. 900.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 2 z dnia 12 stycznia 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.





LUD HERBOWY.

Fenomenem nie mającym w świecie przykładu jest przesycenie Polski elementem szlacheckim. Wprost niepodobna zrozumieć przeszłości naszego narodu, ani wogóle mechanizmu jego życia, jeżeli się nie zna dokładnie tego szczególnego momentu, wyróżniającego Polskę wśród innych narodów.

Szlachetczyzna polska jest zupełnie niezrozumiana, chociaż jest głośna i osławiona w świecie. Jak wszelka inna szlachetczyzna, uważana jest za synonim reakcji, podczas gdy bywała zawsze raczej jej przeciwieństwem. Cudzoziemiec, który nawet nic nie wie o dawnej Polsce, wie jednak napewno to, że był to kraj reakcji, ponieważ—ponieważ miał niezmierną liczbę szlachty. Nie zamarzy się przytem nawet szlachetnemu cudzoziemcowi, że właśnie dlatego, iż miała tyle szlachty, była Polska krajem wolności w stopniu bez porównania wyższym, niż wiele innych. Zygmunt Krasiński w liście pisanym do Lamartina podnosił swego czasu z dumą, że Polska już przed trzema wiekami posiadała odsetek obywateli uprawnionych do głosowania do ciał przedstawicielskich większy, niż Francja za Ludwika Filipa, a więc w pełni rozwoju idei liberalnych w XIX wieku. Tak wysokim zaś odsetkiem obywateli pełnoprawnych cieszyła się Polska tylko dlatego, że obywatele ci, była to szlachta, więc właśnie warstwa tak liczna, a wyposażona prawami.

Liczebność szlachty w społeczeństwie polskiem była fenomenem, nigdzie niespotykanym. Gdy dawna Polska upadała, było w Polsce na 10 miljonów ludności—przeszło miljon szlachty, w tym samym czasie Francja na 20 miljonów ludności miała szlachty zaledwie 140.000. We Francji więc, typowym kraju arystokracji, była to cienka warstewka, w Polsce—masa i to masa poważna.

Niesłychaną tę liczebność szlachty polskiej tłomaczy nam różnorodność jej składu. Szlachta polska nie była to masa jednolita majątkiem, kulturą, pochodzeniem; przeciwnie, była mozaiką tego wszystkiego z wybitną przewagą liczebną masy szlacheckiej ubogiej (szlachta szaraczkowa).

Ten sui generis proletarjat szlachecki, skąpo wyposażony własnością ziemską, a często nawet bez ziemi, to był ów miąższ, wypełniający treść

naszego pospolitego życia szlacheckiego. Ten to drobiazg szlachecki widzimy czynny wszędzie, gdzie w grę wchodzi najbardziej charakterystyczna strona naszego prywatnego i publicznego życia dawnego. Widzimy go nadewszystko w tem, co jest tego życia przejawem w kierunku bujności, temperamentu, rozlewności. Tłumne życie dworów wielkopańskich absorbowało przedewszystkiem czas i siły drobiazgu szlacheckiego, po za obrębem własnej zagrody. Było zresztą tej własności stosunkowo niewiele. Chociaż szlachcic na zagrodzie nietylko się czuł, ale z prawnego punktu widzenia był rzeczywiście „równy wojewodzie“, przecież żadna teorja nie była wstanie zmienić faktu, że chudopachołek był chudopachołkiem, a karmazyn karmazynem. Klejnot herbowy był nieoszacowanym skarbem, jakiego nie znano w żadnym innym narodzie, bo wszak urzeczywistniał najwyższy postulat demokracji, otwierał drogę do naczelnej godności w państwie, z tem wszystkiem jednak siłę rzeczywistą dawał pieniądz, lub ekwiwalent jego —ziemia. Jeżeli typem szlachcica-posesjonata był w Polsce posiadacz jednej wioski, to jakąż własność przeciętnie reprezentować mógł chudzina szlachecki, szlachcic szaraczkowy? Ideałem posiadania była włóka, ideałem zazwyczaj podzielonym na cząstki i cząsteczki, niejednokrotnie — sproszkowanym. Na tym stopniu pojawiał się najdosłowniejszy proletarjat szlachecki, szlachetczyzna bez ziemi, według terminologji dawnej „gołota“, która z wyjątkiem prawnej strony życia niczem zresztą nie różniła się od chłopstwa. „Gołota“ ta różnorakim przemysłem uzupełniać musiała niedobory swej proletarjackiej egzystencji. Cząstka „gołoty“ nieznacznie traciła przynależność do stanu szlacheckiego, wnikając zwolna do rzemiosł: goli „panowie bracia“ przedzierzgali się z czasem w dostatnich panów majstrów szewskich, krawieckich, stolarskich, i t. d. Część „wisiała“ u „pańskich klamek“—wysługując sobie zczasem czy to kawałek ziemi, czy darowiznę pieniężną — a wszyscy pod znakami wielkich panów imali się chętnie wojaczki, zarówno intratnej, jak i zawsze sercu polskiemu miłej. Naogół powiedzieć można, że trzy głównie rodzaje zdobywania chleba istniały dla drobnej szlachty polskiej przez cały okres rozkwitu szlachetczyzny: służba po dworach możnowładców, wojaczka i dostarczanie szabli i kreski wyborczej magnackiej „starszej braci“. Pewne epizody naszych dziejów możemy sobie wyobrazić jedynie, jako robione przez tłum drobnoszlachecki. Przypomnijmy ową podlwowską „wojnę kokoszą“, przypomnijmy owe domowe wojny Sapiehów z Radziwiłłami na Litwie, ale przypomnijmy zarazem takie pełne chwały akcje, jak Sobieskiego wyprawa pod Wiedeń. Sapieżyńsko-Radziwiłłowskie wojny byłyby niemożliwe bez tego mrowia, które na skinienie skłóconych magnatów ciągnęło za nimi, ale niemożliwą byłaby też nieśmiertelna viktorja Jana III.

* *
*

Najciekawszym bodaj momentem w sprawie powyższej jest ostanie się żywiołu drobnoszlacheckiego do naszych czasów. Pojęcie szlachetczyzny historycznej tak się nierozerwalnie połączyło z dekoracyjnością, barwnością tego elementu, że trudno nam sobie wyobrazić masy szlacheckiej w ramach szarzyzny naszego czasu. Jednakże masy te są, istnieją, aczkolwiek kolorystycznie wypłowiały do niepoznania. Jeżeli nie na efekt kolorystyczny będziemy patrzyli, jeśli nie kontuszowych będziemy szukać strzępów lub odłamków zardzewiałych krzywych szabel, to spostrzeżemy, że pod względem istotnym nie tak wiele się znowu zmieniło od czasów staroszlacheckiej rzeczypospolitej. Podobnie, jak w tamtych pradawnych czasach Polska, jak długa i szeroka, przetkana jest na całym obszarze licznym żywiołem szlacheckim, w szczególności—drobnoszlacheckim. Można nawet powiedzieć, że się charakter tego żywiołu uwydatnił na korzyść naszych czasów, pozwalając procesowi życia wchłonąć masy proletarjatu szlacheckiego bezrolnego, a przy życiu zachowując to, co wśród drobnej szlachty było najbardziej typowem— drobną szlachtę osiadłą na roli. Proletarjat szlachecki bezrolny, który sługiwał wojskowo, zapełniał gęsto kancelarje na niskich stanowiskach biurowych i trzymał się pańskich „klamek“ po dworach i pałacach, stracił w naszych czasach swą dawną materjalną podstawę bytu, podczas gdy w położeniu drobnej szlachty, dziedziczącej swoje nadziały roli z ojca na syna, nic się zasadniczo nie zmieniło; ten sam kawałek ziemi, który szlachcicowi szaraczkowemu służył do wyżywienia się przed setkami lat, służy mu do tego i dzisiaj; różnica na niekorzyść może polegać chyba na tem, że w miarę rozmnażania się rodziny drobnoszlacheckiej następuje dalsze jej rozdrabnianie się, a więc rozdrabnianie się także rodzinnego nadziałka ziemi, a więc proletaryzacja w najściślejszem rozumieniu.

Odwieczne siedziby gniazd drobnoszlacheckich pozostały niemi przeważnie do dziś. Szanowne to gniazda i dobrze zapisane w dziejach kultury polskiej. W ich rzędzie wybija się n. p. słynne rojnością drobnej szlachty Mazowsze i sąsiednie Podlasie, skąd rzeczpospolita przez długie wieki czerpała wyborowy materjał osadniczy dla zaludnienia pustych kresowych obszarów Rusi. Właśnie drobna szlachta mazowiecko-podlaska była tym elementem, który chętnie oddawał się na usługi kolonizacyjne rzeczypospolitej. Podobnie jak Mazowsze i Podlasie, tak samo też cały szereg innych dzielnic słynął z posiadania ludności drobnoszlacheckiej. W południowej Rusi-Małopolsce spotykamy gęsto osady, zaludnione przez szlachtę szaraczkową, nazywaną na Rusi także chodaczkową, od łykowego obuwia wiejskiego — chodaków. Drogą wewnętrznej niejako kolonizacji rozkrzewił się żywioł drobnoszlachecki w niektórych dzielnicach wschodnio-kresowych, w szczególności na Białej Rusi i Litwie. W tej ostatniej nieśmiertelne malowidło Mickiewiczowskie na wiek wieków podkreśliło intensywność i bujność życia drobnoszlacheckiego żywiołu: „słynie daleko w Litwie dobrzyński zaścianek męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek“ („Pan Tadeusz“). Najciekawsza, bo najmniej spodziewana jest bodaj obecność drobnej szlachty w zachodnich kresowych zgermanizowanych prowincjach. Z prawdziwem zdumieniem spotykamy ją aż w nadbałtyckich kresach, na Pomorzu. Wyróżnia się ten odłam pośród drobnej szlachetczyzny tem, że od dawnych czasów przechowują się wśród niego tradycje wojskowe. Wśród kaszubskiej szlachty szaraczkowej żyje do dziś pamięć czynnego udziału w różnych polskich wyprawach wojennych, w szczególności w wyprawie Jana III

Wrzenie rewolucyjne w Grecji.



Król grecki Jerzy II, zmuszony wrzeniem rewolucyjnem w Atenach do opuszczenia wraz z małżonką swoją państwa. Wyjechał on do Rumunji, gdzie u teścia swojego króla Ferdynanda znalazł gościnę. Na okręt odprowadziła parę monarszą tylko nieliczna grupa wiernych.





Manifestacje ludności greckiej przeciw dynastji, które spowodowały wyjazd króla Jerzego II. Manifestanci na transparentach nosili podobiznę Venizelosa — zbawcy Grecji. Cały ten ruch antidynastyczny odbył się pod hasłem Venizelosa.

---

pod Wiedeń, od których pochodzi przeważna liczba pomorskich nobilitacyj. Prusacy tego ducha wojskowego tej drobnej szlachty kultywowali rozmyślnie na swoją korzyść, skierowując młodzież kaszubską szlachecką do szkól i zakładów wojskowych. Mnóstwo też młodzieży drobnoszlacheckiej kaszubskiej wsiąknęło w pruskie szeregi oficerskie, a słynny za czasów Napoleońskich „bohater" pruski, generał York von Wartenburg był właśnie takim zniemczonym kaszubskim janczarem — szaraczkiem.

Cały wiek XIX upłynął nam na pracy nad unarodowieniem mas ludowych. Miarą wszczepiania narodowego sentymentu w chłopa polskiego mierzyliśmy powodzenie najważniejszego z naszych zadań narodowych. Wśród pracy tej, rzecz dziwna, zapomnieliśmy zupełnie o ogromnym odłamie polskiego ludu, który także należało oświecać, unaradawiać i cywilizować, a dla którego nic zgoła nie uczyniliśmy tylko dlatego, że to był proletarjat szlachecki, że były to wprawdzie także masy ludowe, na których mogliśmy i powinniśmy byli chcieć oprzeć przyszłość ojczyzny równie dobrze, jak na Kościuszkowskich masach z Racławic, ale masy ludowe wahające się między szlachetczyzną a chłopstwem, lud, ale lud herbowy. Tak więc wytworzyła się paradoksalna sytuacja; znaczna warstwa ludności w gospodarce narodu została zaniedbana właśnie z powodu swojego szlacheckiego pochodzenia; nie brak pergaminów, ale obecność ich zaciążyła ujemnie na niej.

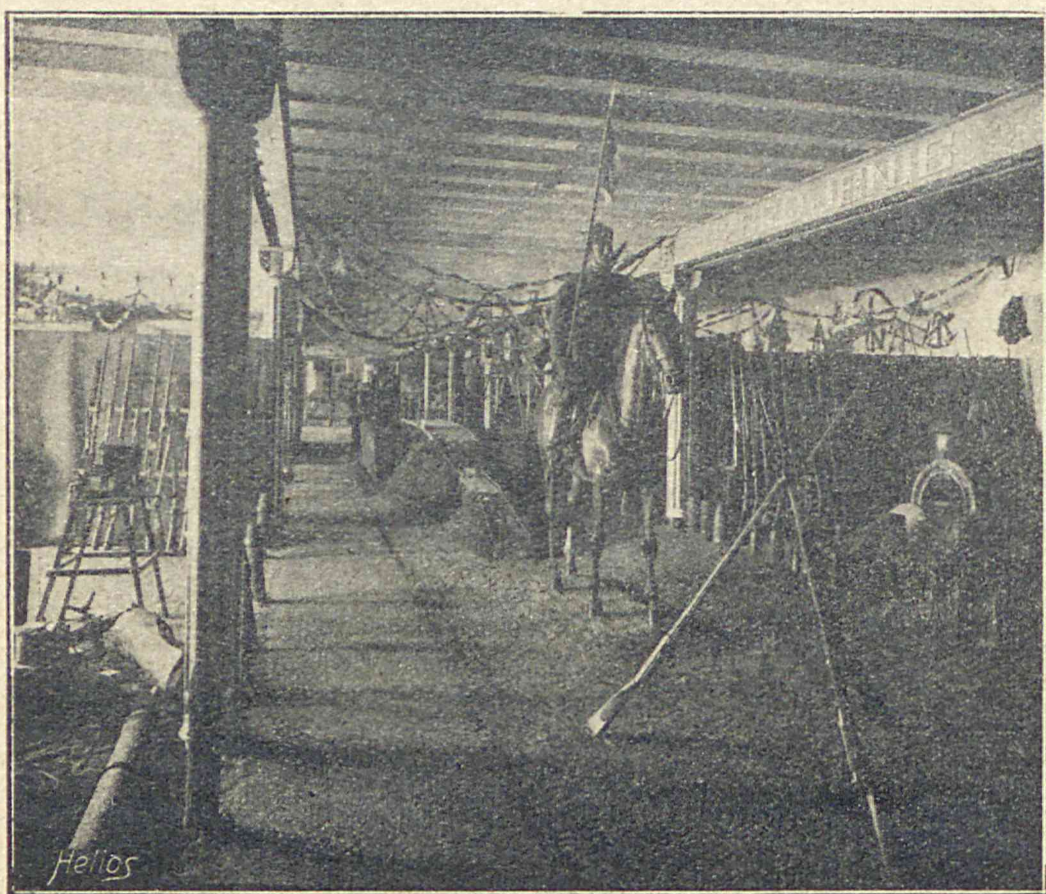
Zaniedbanie wychowania warstwy drobnoszlacheckiej jest rzeczą, której szczerze żałować należy. Bo jeżeli słusznie mniemaliśmy, że warto pracować dla ludu wiejskiego, bo ziarno na tej glebie posiane stokrotnie się wypłaci, to o ileż wdzięczniejsze musiałyby nas czekać plony w warstwie, która już kiedyś żyła intensywnem życiem narodowem i w której pamięć tego życia trzeba tylko—obudzić.

Przez sto lat wołaliśmy na alarm, żeby iść pod strzechę wieśniaczą. Czy w wolnej Polsce nie wypadnie iść przekroczyć drobnoszlacheckiego progu z tym samym zawsze celem, z celem—rozszerzenia ojczyzny, tym razem o potomków skrzydlatych rycerzy króla Jana III.

A. Chołoniewski.



Muzeum wojskowe w Poznaniu.



Ogólny widok na salę Muzeum.
Fot. J. Puciński, Poznań.



Dyrektor Muzeum Wojskowego w Poznaniu, p. Antoni Liske. Obok jego zastępca, por. Rudolf Tarczyński.

„Członkowie Komisji Edukacyjnej" w biustach Aleksandra Borawskiego.

Stanisław August miał nieszczęście znaleźć się na tronie wtedy, kiedy byt Rzeczypospolitej był już zachwiany. Mimo najlepszych chęci, mimo ogromnych zadań kulturalnych, rozpoczętych i częściowo doprowadzonych do skutku, Polska stoczyła się w otchłań.

Ostatni król poniósł ze sobą do grobu przekleństwo całego narodu — słusznie!

Ale dziś, kiedy znów zostaliśmy wielkim wolnym narodem, możemy i musimy kontynuować prace w czasach ubiegłych rozpoczęte; sprawy podobne nie ulegają przedawnieniu.

Dziś, w czasach wyjątkowego zdziczenia i ogłupienia moralnego — możemyż nie przyklasnąć uroczystościom pamiątki: „Komisji Edukacyjnej". Epoka ubiegła dała nam całe zastępy wielkich mężów, uczonych, artystów, poetów, statystów, myślicieli, filozofów:

„W ich to dziełach i pracy znaleźli prawnuki
Dwie najświętsze pamiątki: język i nauki".

Śmiało twierdzimy, gdyby nie ten ostatni posiew wielkich ludzi w narodzie—nie bylibyśmy zdolni przetrzymać niewoli.

Dlatego 150-ta rocznica ustanowienia „Komisji edukacyjnej" — jest więcej, niż przypomnieniem, jest raczej: wskazaniem — wzorem największej wagi.



X. Stanisław Konarski — Pijar. Rzeźbił A. Borawski.

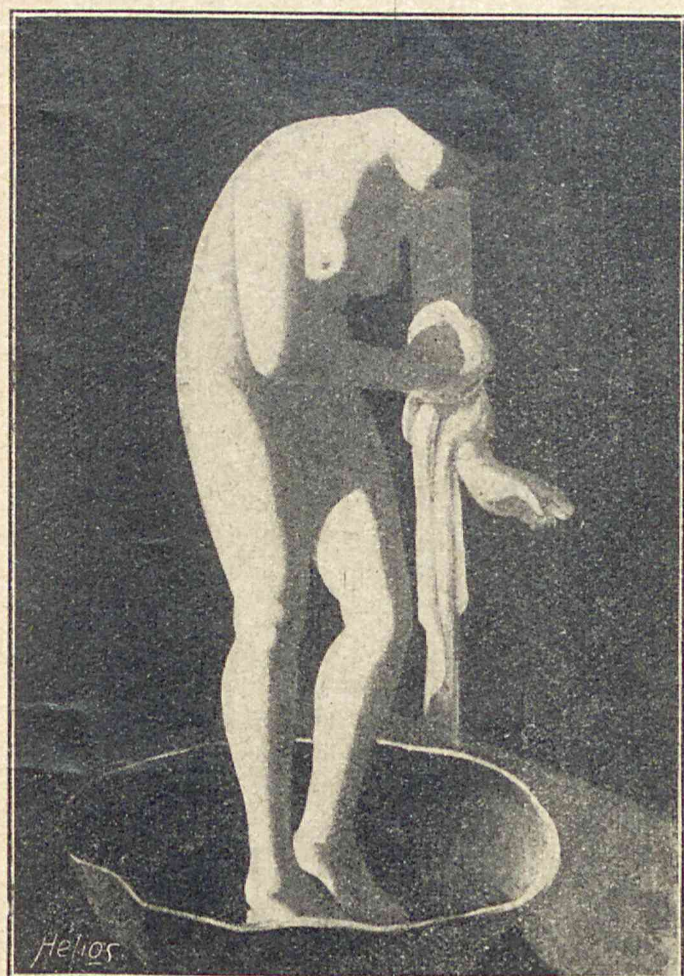
Aby w młodzieży naszej pamięć tych wielkich ludzi utrwalić, aby ich zapamiętała na zawsze, Komitet obchodu uroczystości zamówił u rzeźbiarza Aleksandra Borawskiego szereg popiersi, które w reprodukcjach mają ozdobić nasze uczelnie.

Wystawa tych rzeźb w Politechnice prezentuje się okazale, poznajemy najlepsze chęci zasłużonego artysty, tak znanego powszechnie inicjatora „Pamiątki Polskiej", — która obecnie w rozgardjaszu i zamęcie społecznym przeszła bez zasłużonego uznania.

Wśród wystawionych popiersi głowa Konarskiego, którego dajemy w reprodukcji, tak pod względem ekspresji wyrazu, jak i życia pulsującego w tych formach należy do najlepszych podobizn wielkiego patrjoty.

Wł. Wankie.

Wystawa Tymona Niesiołowskiego w Salonie Garlińskiego.



Tymon Niesiołowski. W kąpieli.



Tymon Niesiołowski.

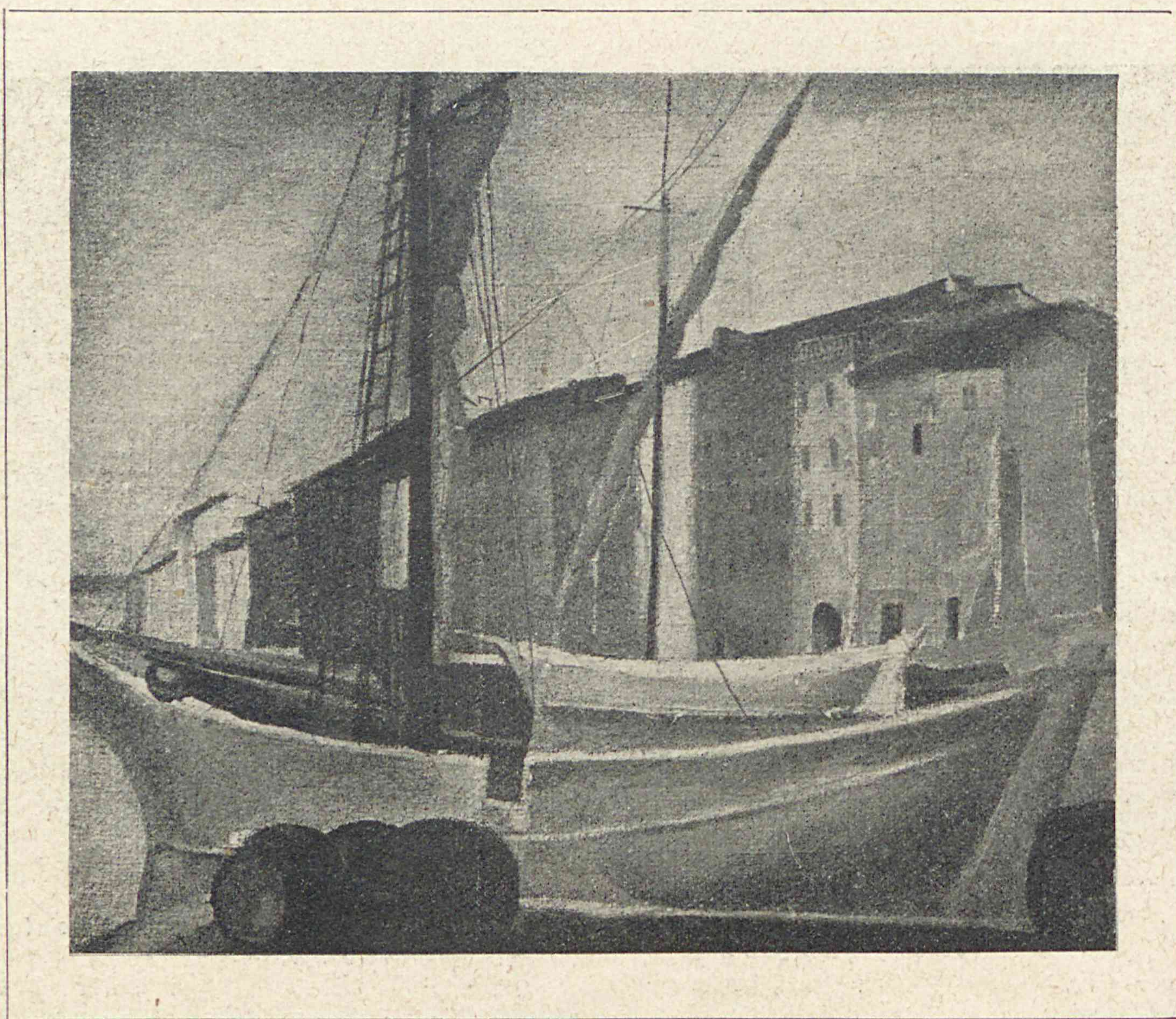


Tymon Niesiołowski. Pod drzewem.



Tymon Niesiołowski. Przy piwie.

TEGOROCZNY SALON JESIENNY W PARYŻU.



H. Kwiatkowska. „Port na południu".

Szaro, słotno, wilgotno. A mimo to zawsze młody i zawsze wytworny Paryż tętni życiem, w wielkich magazynach tłumy kupujących, teatry, restauracje, kabarety przepełnione. Ceny żywności wzrosły nieco od paru miesięcy. Niema mowy oczywiście o skokach cen tak nagłych, jak w Warszawie. Zdrożał chleb (o 10 centymów na funcie), zdrożały kartofle, cukier. Bezpośredniem następstwem tego są żądania pracowników. Nie brak więc manifestacji, czasem dość humorystycznych, jak np. manifestacje policjantów, niezadowolonych ze swego losu, lecz rychło poskromionych przez gwardję republikańską. Życie paryskie płynie przecie równo, jak srebrno-szara Sekwana, odbijająca w swych falach tysiączne światła nadbrzeżne. A wśród owych świateł najjaskrawiej chyba błyszczy ogromny Grand-Palais, gdzie obecnie znajduje się wystawa Salonu Jesiennego, śmiało mogącego zwać się Salonem Zimowym ze względu na lodowatą temperaturę, jaka panuje w wielkich, prawie nieogrzewanych salach.



Lednicka-Szczytt. Podlotek (drzewo).

Salon Jesienny tegoroczny zawiera sporo dzieł nowych i ciekawych. Oto najpierw na dole mamy bardzo nowoczesną i oryginalną sekcję „Art Urbain" (sztuka zdobienia miast), zorganizowaną przez p. Marcel Temporal. Najbardziej uderzają w niej: projekt pomnika dla wielkiego muzyka francuskiego, Claude Debussy, rodzaj marmurowej białej bramy z dwiema harmonijnemi smukłemi postaciami wpół kobiet, wpół aniołów, wszystko to na tle ciemnej zieleni. Jest to dzieło zbiorowe rzeźbiarzy Joël'a i Jana Martel oraz architekta p. J. Burkhaltera. Dalej park nowoczesny z ładną kolumną, zakończoną oryginalnym ptakiem, dzieło p. Pompon, —z ciekawą, harmonijną fontanną, skomponowaną przez panią p. Lednicką-Szczyttową i A. Górską Szczególnie ładny jest bas-relief 17-tej godziny. Cały plan parku jest dziełem znanego artysty francuskiego, p. Roberta Mallet Sterens.

W tejże samej sekcji znajduje się wystawa lalek p. Stefanii Łazarskiej. Egzotyczne księżniczki w cudnych strojach rozsiadły się na poduszkach kolorowych;



Lednicka-Szczytt. Portret stylizowany.

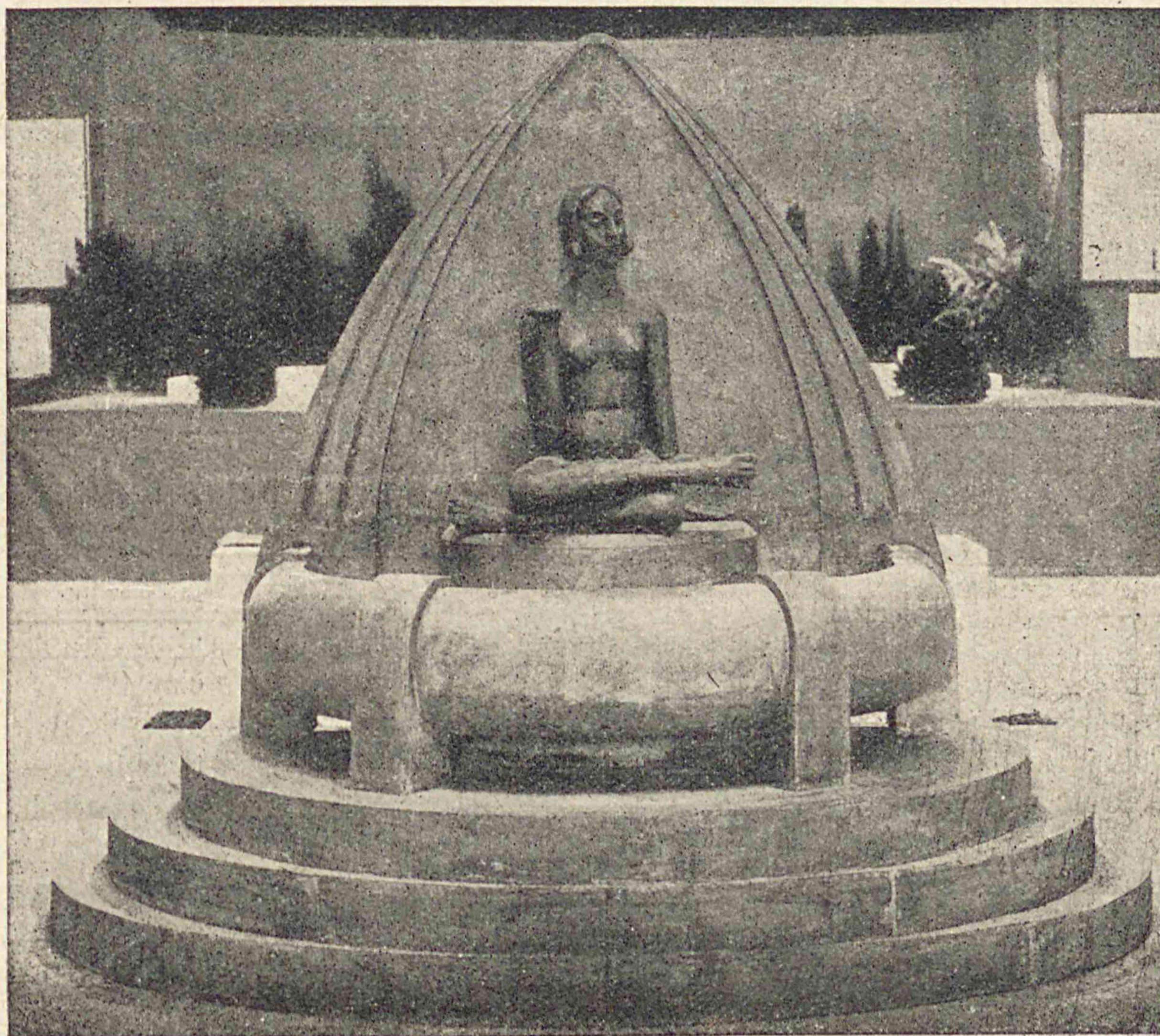
Z pośród utworów polskich w salonie jesiennym w Paryżu.



„Studjum" Z. Kramsztyk.



„Wróżka". Eugenjusz Zak.



Fontanna (cement) Lednicka-Szczytt.



Nina Alexandrowicz.—Dziewczynka.

każda lalka, to jakieś marzenie artystki, przybrane w kwiecistą szatę z aksamitów i jedwabi. P. Łazarska święci, jak zwykle zresztą, tryumfy zasłużone. Lalki jej stały się od czasu wojny jednym z najmodniejszych „bibelots“ paryskich.

W salach rzeźby odnajdujemy nowe dzieła p. Lednickiej. „Tors“ kamienny bardzo silny, o skoncentrowanym, prawie ostrym wyrazie, wyrazista głowa kobieca (bronz) dumna, lecz zarazem pogodna, portret pani Germanie Dulac, twarz o rysach męskich a o wyrazie bardzo kobiecym, wreszcie prześliczna, smukła „Adolescente“, przedziwnie lekka i wiotka. Młoda rzeźbiarka, cieszącą się coraz większem uznaniem w Paryżu, nie może się skarżyć na krytyków francuskich: rzeźby jej zostały niezwykle pochlebnie ocenione w tym roku przez prasę paryską.

Na ścianach obrazy. W jednej z pierwszych sal uderzają świeżością barw jakby tylko co rozkwitłe ponsowe kaktusy i liliowe cyklameny, trochę fantastyczne, ale bardzo wdzięczne p. Marie Alix. Nieco dalej bajecznie kolorowi Hiszpanie p. Manuela Losada, enigmatyczna dama w zielonej sukni p. Marilise, bardzo delikatne w kolorze obrazki p. Nerée-Guutier: serwis błękitny, hyacynty i anemony.

Bardzo ładne „dziecko uśpione“ pani E. Kuss-Amore na łóżku okrytem barwistą kapą; interesujący „portret“ pani Heleny Dufan, oraz przepyszne, pełne światła słoneczniki p. Jolly, sąsiadują z pięknemi kotami Nam'a. W tem miejscu zauważyć należy, że jedynym rywalem Nam'a w sztuce malowania kotów, tych najpiękniejszych i najtrudniejszych modeli zwierzęcych, jest dziś rodaczka nasza, p. Nina Alexandrowicz. Kilka jej prześlicznych kotów znajduje się i w Salonie Jesiennym. P. Nina Alexandrowicz odznacza się niesłychanem bogactwem barw, umie po mistrzowsku posługiwać się ludowemi motywami polskiemi. Artystka ta w tym roku została wybraną „societaire“ Salonu Jesiennego.

Malarstwo polskie oprócz p. Niny Alexandrowicz doskonale reprezentują artyści: pp. Eugeniusz Zak, Skoczylas, Kramsztyk i Dora Kurcembianka. „Wróżka“ p. Zaka to jakaś Sybilla odległych wieków, którą modernizuje jedynie trzymana w ręku karta. Jest w tej postaci coś fatalnego i wężowego zarazem. P. Zak, członek-sociétaire Salonu Jesiennego, jest nader ceniony przez krytykę francuską. Bardzo barwne i bardzo polskie są rzeczy p. Skoczylasa; szkoda, że umieszczono je bardzo źle i światło pada dość niefortunnie.

Obok wystawy żyjących znajduje się parę wystaw pośmiertnych, między innemi, wystawa dzieł p. Georgette Agutte (m-e Marcel Sembat). Żona znanego pisarza Marcel Sembat, zdolna artystka-malarka, zakończyła życie w przeszłym roku w sposób dość tragiczny: nie mogąc przeżyć śmierci męża, zastrzeliła się w 12



Nina Alexsandrowicz.—Kot.

godzin po jego śmierci. Napisała, że spóźniła się o 12 godzin. Drugą wystawą pośmiertną jest wystawa Eugeniusza Chigot, artysty-malarza. Ów rozkochany w kwiatach i w pogodnych pejzażach artysta był bardzo czynnym i ofiarnym działaczem w czasie wojny, gdy chodziło o pomoc dla inteligentów, był też jednym





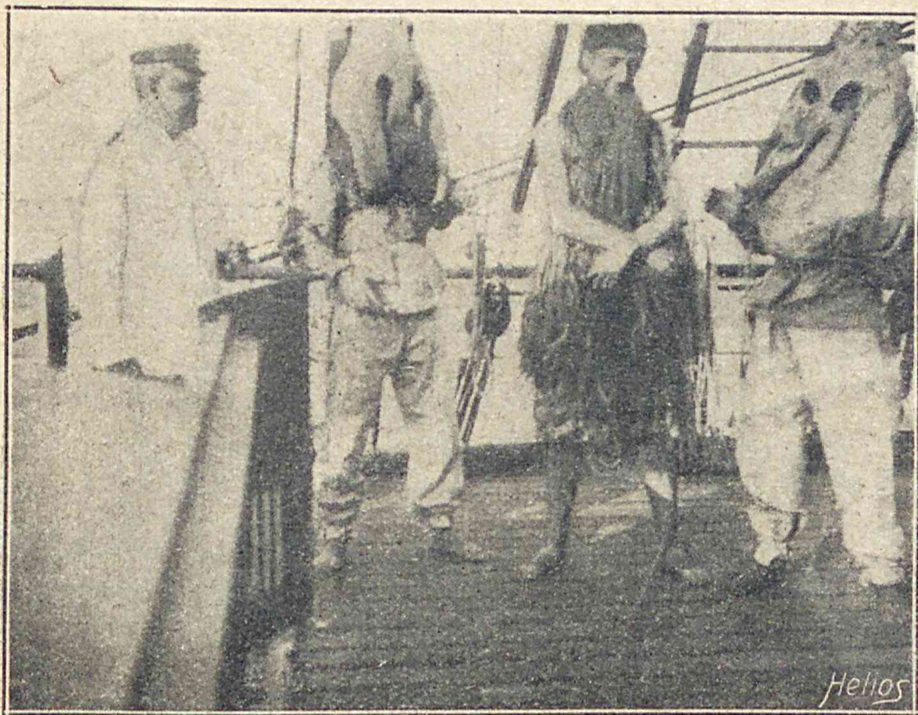
Nina Alexandrowicz.—Krajobraz.

z założycieli słynnej w Quartier latin restauracji „Etoile Bleue“ (Błękitna Gwiazda), całkowicie obsługiwanej przez artystów, artystki, profesorów i studentki, dzięki czemu wydawaliśmy wówczas obiady i kolacje, złożone z 3-ch dań po cenie śmiesznie nizkiej... pół franka!...

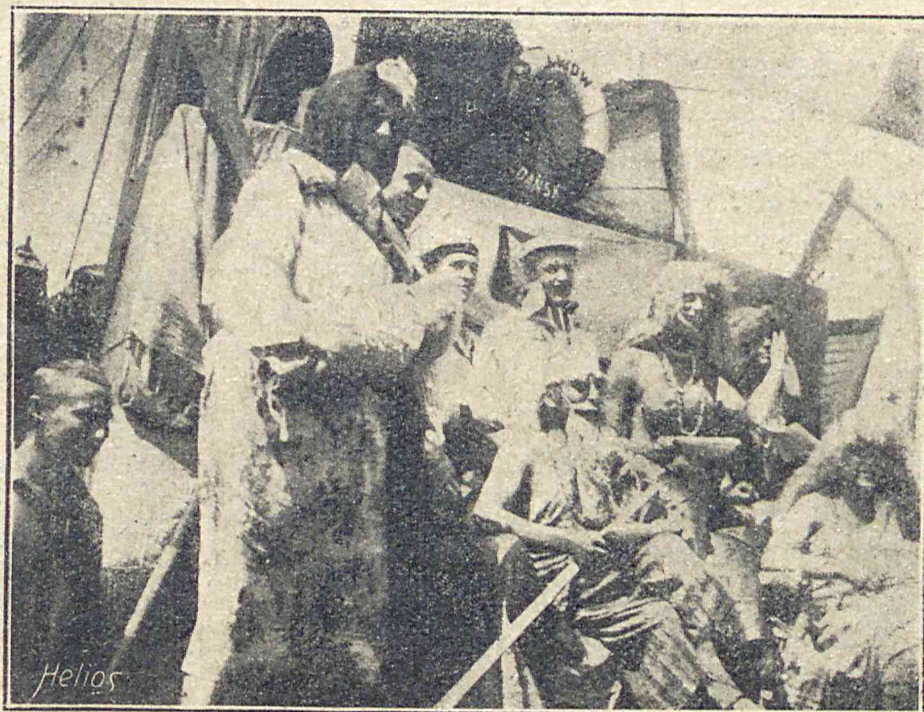
W ciepłych, zacisznych salach u Derambez'a, blizko place Madeleine, a więc w samem sercu eleganckiego Paryża, wystawiły dwie Polki, pp. Alexandrowicz i H. Kwiatkowska, serję swych obrazów. P. Kwiatkowska wystawia w ogólnej sali artystów francuskich, wśród t. zw. „Minuscules“. Są to niewielkie obrazy, rodzaj krajobrazów w miniaturze, bardzo modnych obecnie. Artystka polska mimo dużego rozmachu, umiała z iście kobiecym wdziękiem zamknąć w tej szczupłej formie ogromnie dużo barwy i piękna. Cały czar i skwar południa bije od tych drobnych krajobrazów, niezmiernie misternych, a jednak tak bardzo żywych. Mimowoli zapomina się, że to zima paryska szara i wilgotna, myśl przenosi się na południe, pod osypane złotem mimozy.

P. Alexandrowicz wystawia całą serję swych cudnych kotów, przed któremi zatrzymują się liczne grupy dam. Kot i kobieta sympatyzują zawsze. Może miał słuszność stary Dumas, wygłaszając swój aforyzm o wspólnym kotom i kobietom charakterze. Prócz tego mnóstwo kwiatów jasnych, słonecznych—np. maki czerwone i rumianki—wyborna para chłopska i kilka doskonałych, bajecznie barwnych portretów dzieci (dziecko w żółtej koszulce i dziewczynka w zielonej chustce). Obie artystki mają duże powodzenie, o czem świadczą nietylko krytyki pism artystycznych, ale i napisy „sprzedane“, skromnie tulące się u dołu ramek.

Paryż *Dr. M. Kasterska.*



„Lwów" na Atlantyku 1923 r. Uroczystość przejścia równika. Zawiadomienie o wizycie Neptuna. Kapitan „Wodnik" (T. Dębicki) i nurkowie.



Zabawa u szczytu! Marynarze śpiewają kuplety. Od lewej ręki: Mamka „polskiej marynarki" (Mańkowski) Possejdon (siedzi)—Ćwikliński, Prozerpina (siedzi)—J. Hogmecer.

„POD POLSKĄ BANDERĄ".

IV.

UROCZYSTOŚĆ NA RÓWNIKU.

Zbliżaliśmy się do równika. Od dwuch już przeszło tygodni uczniowie z zapałem przygotowywali uroczystość Neptuna, by godnie wypadła na pierwszym polskim statku płynącym przez te wody... W niedzielę odbył się wstęp. Zawadjacka muzyka zwabiła wszystkich na pokład koło trapu na rufę. Orkiestra wyborowa. Żaglomistrz Leszczyński rżnie marsza na swej „wypróbowanej" harmonji. Wysoki niebieskooki, o zawiesistych wąsiskach i łagodnym wyrazie twarzy Kaszuba, z powagą spełnia swoją funkcję. Obok nizki, tęgi, okrągły, jak baryłka, dobrodusznie uśmiechnięty bosman Kaleta, przewiesiwszy na wydatnym brzuszku ogromną blaszaną puszkę od konserw kartoflanych, z przedziwną finezją wybija takt, jak najwprawniejszy dobosz wojskowej orkiestry. Trzeci Kaszuba Rutz chudy, cienki, o ptasim nosie, brzęczy i brzdąka na zgoła nie dającym się bliżej określić instrumencie, własnego wyrobu. Drugi bosman, bijąc nożem stołowym w klin żelazny, imituje dzwonek. Na dźwięki tak wykwintnego „jazzbandu" poschodzili się wszyscy na rufę. Z poza burty, niby prosto z morza, wynurzył się wodnik — Tryton, wysłannik Neptuna, oraz dwuch nurków w kapitalnych kostjumach z worków, na plecach Minimaxy (przyrządy do gaszenia ognia) miast zbiorników powietrza, kunsztownie połączone rurą parcianą z otworem ustnym hełma. Wodnik nagi, w bardzo pomysłowo wykonanych wodorostach morskich, brodaty i kosmaty w te odezwał się słowa:

„Salem Alejkum moi Panowie),*
Dokąd dążycie na Waszym „Lwowie"?
Woda, po której okręt Wasz bieży,
Wszystka do Pana mego należy,
Neptuna, władcy mórz i otchłani,
Wy zaś jesteście Jego poddani"...

„Bacz, Kapitanie, tego okrętu,
Gdy go prowadzisz wśród wód odmętu,
Wkrótce dosięgniesz już szerokości,
Kędy jest środek Neptuna włości,
On zaś chce chrztu Wam swego udzielić,
I między Wami się rozweselić,
Z Neptuna zatem pytam się woli:
Czy pan Kapitan na to pozwoli?"

Na to kapitan, łypiąc, jak to ma we zwyczaju, przeraźliwie oczyma:—„Zaś dobrze, czemu nie, uroczystość się odbędzie, nieprawdaż?"

Wodnik skłonił się uroczyście:

„Dzięki, ja muszę skryć się w głębiny,
Uprzedzić władcę, że jutro chrzciny".

Poczem, przy dźwiękach „orkiestry", oraz przy przeraźliwym wrzasku załogi, Tryton, wraz z nurkami, odbył tryumfalny marsz wokół statku.

Purpurowy zachód, przysłonięty gazą chmur lila i strojny w pąsowe odblaski, kładł się na morzu i rozwieszał tęczę barw na dumnie rozpiętych żaglach „Lwowa".

*) Cała „sztuka" równikowa była dziełem uczniów Szkoły Morskiej: Tadeusza Dębickiego i Zbigniewa Zaniewickiego.

Następnego dnia cały okręt, jak długi i szeroki, poczynając od kapitana, oficerów i załogi, kończąc (jak twierdzą uczniowie) na deskach i spojeniach, był niewymownie przejęty uroczystością. A i rzeczywiście trzeba przyznać, iż wypadła ona ładnie i dowcipnie. Wielu, przyzwyczajonych do brutalności, okazywanej w czasie tego rodzaju imprez na statkach niemieckich i rosyjskich, nie mogło przez dłuższy czas „rozkleić się" z zachwytu. Stroje były bajeczne, treść okolicznościowa, wykonanie nadspodziewanie dobre, zaś nastrój szampański. A niebiosa dodały humoru i cudnych ram wesołem słońcem i pomyślnym, silnym passatem, który nareszcie dąć począł, chłodząc rozkosznie.

Skoro świt, wachta służbowa ustawiła tron dla Neptuna i jego szanownej małżonki na grot luku, który z tej okazji zamknięto całkowicie i przykryto brezentem. Tło stanowiły pomysłowo ustawione bandery i flagi sygnałowe.

O 9-ej zrana, czyli prawie że według obserwacji w momencie, w którym powinni byliśmy mijać linję równika, łaskotliwe dźwięki naszego „jazzbandu" rozpoczęły uroczystość. „Dyrygent" zręcznie zagiął kaftan ubrania ceratowego, niby frak i fantastycznie zawiązał szeroką kokardę krawata. Na ławkach, ustawionych wokoło, rozsiadł się kto żyw. Niebywała to w dziejach „Lwowa" rzecz, by oprócz jednego człowieka przy sterze, nikogo więcej nie było na służbie... Wreszcie weszli na „scenę" aktorzy widowiska. Więc na przedzie postępował z powagą, założywszy ręce na wypchanym poduszką brzuszku,

uczeń grający rolę kapitana, w kapitańskim pożyczonym mundurze. Dalej uczeń w roli sturmana (oficera nawigacyjnego) — wreszcie czterech marynarzy. Dopiero teraz Neptun w srebrnej koronie, z olbrzymiemi włosami, brodą i wąsami, owinięty w togę z koca, ze świetnie zrobionym trójzębem w dłoni. Obok skromnie kroczyła jego małżonka. Kolorowa płócienna tunika z obrusa, długie pyszne blond włosy z włókien używanych do plecenia lin, sznurowane na krzyż po grecku sandały, z wdziękiem trzymany wachlarz, a przedewszystkiem delikatna cera „aktora", dawały złudzenie pięknej bogini wprost „porażające". Obok dostojnych osób z powagą stąpał astrolog, w wielkim spiczastym kapeluszu i z olbrzymią lunetą w ręku. Ogromny a naturalny nos czynił go jakby do tej postaci stworzonym. Za Neptunem i astrologiem cztery nimfy w strojach matki Ewy z dorobionemi kształty i wdzięcznie je osłaniającemi włosami. Do orszaku należała jeszcze gruba baba wiejska, piastująca z czułością niemowlę w poduszkach. Na poduszce niemowlęcia widniał napis wyraźnie znaczony: „POLSKA MARYNARKA". Wokół zaś tego pocztu uwijało się trzech przerażająco czarnych djabłów.

Bóg morza i jego małżonka zasiedli na tronie, otoczeni orszakiem, mając przed sobą uczniów grających role kapitana, sturmana i majtków. Astrolog ze sturmanem obliczają na olbrzymim sekstansie, sporządzonym przez cieślę okrętowego, szerokość geograficzną i zawiadamiają Neptuna:

„Za dwie minuty Królu i Panie
Przekroczym równik na oceanie".

Poczem rozpoczyna się właściwa uroczystość od odśpiewania paru piosenek „na czasie".

„Widziałem Was pod Maderą,
Jechaliście jeszcze w maju,
Jakąż igra wiatr banderą.
Z jakiegoż jesteście kraju?"
„My jesteśmy marynarze, uśmiechnięte [twarze,
Wciąż zadowoleni, jeszcze nie ochrzczeni.
Jedziemy sobie na „Lwowie",
W Wilnie czy Krakowie, każdy ci to powie...
„Z Saragossy do Tobolska, gdzie jest [nasza Polska,
Wszędzie orzeł biały zatrąbił sygnały.
Neptunie, nasz ty Neptunie, na rów- [niku czy biegunie
Puszczaj dalej nas!"

Na takie dictum majtków djabły się wtrąciły:

„Król nasz bardzo jest ciekawy, skąd [okręt przybywa,
Teraz się odkrywa, — jesteście z Warszawy.
Witajcie że nam, kochani, Wy, Polacy, [n espodziani.



Tak wyglądał pokład „Lwowa", na linji równika.

Neptun cieszy się, widząc pierwszych „nauciarzy", co „pod polską banderą mijają równik".

Kapitan zapewnia, że będzie nadal „dobre wyżywienie", że będą: — „zaś ale konserwy, chleb biały, jak płeć Minerwy. Będzie kawa i zabawa, i rozgrzewka i potrawa, wszystko z sosem „a là Lwów".

Neptun zadowolony z tej obietnicy taką pali śpiewaną przemowę:

„Tu są dzisiaj nowe dziwa, gdyż przy- [jechał polski „Lwów",
Ojczyzna Wam wstała żywa, zbudzona [z niewoli snów".

Poczem zapewniając, że dla polskich marynarzy wszystko stoi otworem, zwrócił się wprost do prawdziwego kapitana:

„Cześć Ci Panie Kapitanie, pierwszy [wodzu polskich mórz,
Ślę Ci nasze powitanie, ochronie od [morskich burz.
Inny statek duński, włoski musiałby mi [dary nieść,
Ciebie zwalniam, Tyś Ziółkowski, kapi- [tanie cześć Ci, cześć.."

W tym momencie uczeń, doskonale grający rolę kapitana „Lwowa", zwrócił się do widzów: „Już nieprawdaż? jest droga, niech się spieszy załoga, niechaj rada nic nie gada: trochę wody dla ochłody, zaś nieprawdaż się przyda?".

A djabły mu zawtórowały z groźnemi gesty:

„Kto wzgardzi zaproszeniem, naszym [morskim jedzeniem,
Sami zgolim i posolim i w prezencie, [na brezencie
Wyprawimy morski chrzest!"

Teraz zaczęło się „clou" wszystkiego. Tradycyjne we wszystkich marynarkach golenie olbrzymią brzytwą, po uprzedniem „namydleniu" rozrobioną mąką, wiechciem miotły jako pędzlem. Nikt losu swego nie uszedł. Opornych gwałtem ścigały djabły. Każdemu podczas „golenia", co z precyzją czynił „starszy nad djabłami", chór śpiewał piosenki, tyczące się operowanych nieszczęśników, nieraz bardzo złośliwe. Po „ogoleniu" i po „nakarmieniu" spleśniałym chlebem i straszliwą marmeladą z piasku, oraz po „napojeniu" morską wodą, plującą ofiarę albo oblewano delikatnie kubłem, albo też opornych i nielubianych zanurzano głową na dół w wielkiej kadzi. Śmiechu co niemiara...

„Czego przyjacielu tak zgnębiony stoisz?
Ochrzciliśmy wielu, czego ty się boisz,
Hop dziś, dziś, graj ciszej, hop dziś, [dziś od ucha!
„—Kosko!—A co?—Kogo chrzcić?—
„—Prokulskiego.—A chrzcić! Hop dziś, [dziś!" i t. d.

Ofiary przyjmowały chrzest z rezygnacją.

„Chociaż do Brazylji tęgi drogi kawał,
Ale dojedziemy pewno na karnawał,
A gdy dojedziemy do Rio de Janeiro
Będziem całowali murzynki na serjo".

Jeden doktór wymknął się od obowiązku, a djabły, mszcząc się, zaimprowizowały z życia żywcem wzięty wielce charakterystyczny djalog. Jedna rogata, wysmolona bestja zwierzała się drugiej robiącej uczone miny:

— Panie doktorze, jestem chory.
— Toć już wiem, tedy co takiego?
— Brzusio mnie boli.
— Tak, tak, toć to nic nie jest.
— Ale mnie bardzo boli, może jakie lekarstwo?

— Toć ja lików mam mało, a do Ameryki długa droga.

— Ależ panie doktorze, (płaczliwie), ja naprawdę jestem chory.

(Rozpłakał się).

Djabeł grający doktora niby się strasznie zirytował.

— Toć ja też jestem chory, czego „ta odemnie" chcesz?

— Może to zatrute ryby (aluzja do ryb, któremi parę tygodni temu cała załoga się struła).

— Toć to sugestja, człowiecze, sugestja...

Podczas tej rozmowy na scenie brać marynarska pokładała się, piszczała i ryczała z uciechy, nie wyłączając „starego" (jak nazywają uczniowie kapitana i oficerów).

A chór jako refren radośnie huczał:

„Raz przecie na świecie musisz odbyć [chrzest,
Czyś czarny jak murzyn, czyś też blady [jest".

Wreszcie gdy już wszyscy byli „gotowi", a dyrektor wystawy próbek przemysłu polskiego, po pierwszym chrzcie z wody, rozpaczliwie otrząsał się, roześmiana, rozkrzyczana załoga, tryumfalnym pochodem po raz wtóry, jak dnia poprzedniego, okrążyła statek z rufą włącznie. A krzyk był taki, dźwięki „jazzbandu" i jęki ręcznej syreny tak przeraźliwe, że gdyby przypadkiem jaki statek przepływał wtedy opodal, pewno podążyłby z pomocą.

Jednak na rozkołysanych, granatowych, w biel piany strojnych wodach, nie widać było nawet dymu z poza horyzontu. Długoskrzydłe albatrosy i duże czarne jaskółki morskie, mimo, że najbliższy ląd znajdował się o 600 mil morskich od „Lwowa", krążyły wokół statku, jakby naprawdę zdziwione: Co to za bandera?!"

Na dnie zaś serca każdego z rozbawionych marynarzy tkwiła ta mocna i radosna świadomość, że są oni pierwszymi pionierami młodej marynarki Rzeczypospolitej, wśród dalekich mórz południa. Że wślad za nimi pójdą inni i jeszcze inni, roznosząc sławę i budując potęgę „Białego Orła". A „Lwów", leżąc na burcie, pod silną dłonią passatu, rozcinał wody oceanu i kąpał się cały w powodzi ciepłych promieni zwrotnikowego słońca.

Bohdan Pawłowicz.

Na pokładzie „Lwowa".



Nowy minister spraw zagranicznych.



Maurycy hr. Zamoyski, b. poseł i minister pełnomocny Polski w Paryżu, który godnie reprezentował nasz naród na gruncie francuskim i wielce przyczynił się do zadzierzgnięcia węzłów przyjaźni, został mianowany ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Wł. Grabskiego

25-LECIE WYNALEZIENIA RADIUM.



Naród francuski w uznaniu naukowych zasług małżonków Piotra i M. Curie, wynalazców radu, przyznał pani Curie-Skłodowskiej dożywotnią rentę w sumie 40 tysięcy franków rocznie. Odbyła się uroczystość akademicka w Sorbonie, zainicjowana przez rząd i ciała naukowe paryskie. Obecni byli Prezydent Rzplitej Millerand, Minister M. Berard, Minister Straus, rektor Appel oraz reprezentacje korporacji naukowych prawie całego świata.

Z TYGODNIA.

P. Grabski otrzymał od Sejmu żądane pełnomocnictwa. Uzyskał władzę, bardzo daleko sięgającą. Mowa, którą wygłosił podczas obrad, w społeczeństwie polskiem znajdzie niechybnie życzliwe przyjęcie. Niema w niej ani kuszących obietnic, ani przechwałek: jest mocno, jasno i wyraźnie zobrazowana poważna sytuacja Państwa i groźba wielkich niebezpieczeństw, jeśli nie nastąpi rychła sanacja. Tkwi w tej mowie wszakże i rozumny optymizm: uzdrowienie jest możliwe, jeśli ogół obywateli zdobędzie się na odpowiedni wysiłek. Cudów w dziedzinie finansów niema. Pacjent, t. j. powszechność polska--musi poddać się cierpliwie zabiegom, które nieraz będą przykre, a nawet bolesne. Czegoż się nie czyni dla odzyskania zdrowia! W tym wypadku chodzi o zdrowie, może o życie wskrzeszonej Ojczyzny.

Gdy tak stawiać kwestję, wszyscy są zgodni. Lecz gdy przyjdzie do realizacji, każdy będzie bronił swojego mieszka. Przemysłowiec będzie groził zamknięciem fabryki, zwolnieniem od pracy robotników. Rolnik — upadkiem produkcji. Kupiec będzie skwapliwie ukrywał zebrane na pasku kapitały, przezornie w dolarach ulokowane. P. Grabski będzie musiał okazać w równej mierze niemiłosierność jak umiejętność w dobieraniu się do tłustych połci. Jeśli dokona swego, być może, — jak ongi Lubecki — wywoła chór oburzenia i gniewu,—ale z pewnością, tak samo jak ów wielki mąż stanu — zapewni sobie wiekopomną sławę i wdzięczność.

Mochnacki,— choć stał na przeciwległym biegunie, — poznał się na Lubeckim i mówił, że „nie było nadeń zręczniejszego człowieka w Polsce, ale zarazem więcej w swym systemie upartego". Stanisław Smolka, w swem dziele „O polityce Lubeckiego", poprawia ten sąd, stwierdzając, że co Mochnacki nazywał uporem, było niezłomną, głęboko ugruntowaną siłą przekonania...

Nie wystarczą życzenia. Trzeba współdziałać. Naprawa finansów może stać się tylko przez powszechny wysiłek wszystkich i każdego.

B. minister finansów we Francji, p. François-Marsal, zastanawiając się nad trudnościami gospodarczemi swego kraju, dochodzi do wniosku, że najskuteczniejszym środkiem naprawy waluty jest:

Powiększać produkcję.
Zmniejszać konsumcję.

Aby zabiegi rządu odniosły skuteczny skutek, naród musi się zdobyć na wzmożenie wydajności pracy, redukując równocześnie tryb życia, wprowadzając doń rozumną oszczędność. W tych dwóch kierunkach należałoby poruszyć, zmobilizować opinję publiczną. Gdzie się tylko da — pomnażać czas pracy i jej wydajność, równocześnie piętnować niepotrzebny zbytek, z oszczędności czynić modną cnotę. Nie znaczy to, aby trzeba było gasić radość życia, naturalną, zwłaszcza u młodzieży, chęć do zabawy. Wcale nie. Bawcie się po pracy jak najweselej, ale bawcie się tanio. Do szczęścia nie jest koniecznem płacenie po 3 miljardy od stolika w restauracjach, jak to czyniono w noc Sylwestrową. Młoda i ładna kobieta nie potrzebuje koniecznie ubierać się w suknie po tysiąc franków szwajcarskich i nosić tylko jedwabne pończochy. Zebrania towarzyskie nie potrzebują koniecznie być ucztami Gargantuy, okazjami do obżarstwa, opilstwa i karcianego hazardu. Organizacje kobiece mają piękną misję do spełnienia. Oto chwila właściwa do wszczęcia agitacji, propagandy. W Polsce kobieta, gdy chce, wszystko może. Chodzi tylko o to, by chciała.

Znany i powszechnie szanowany architekt, p. Stefan Szyller, wystąpił z inicjatywą pomnika dla polaków, poległych za ojczyznę w latach 1914—1920.

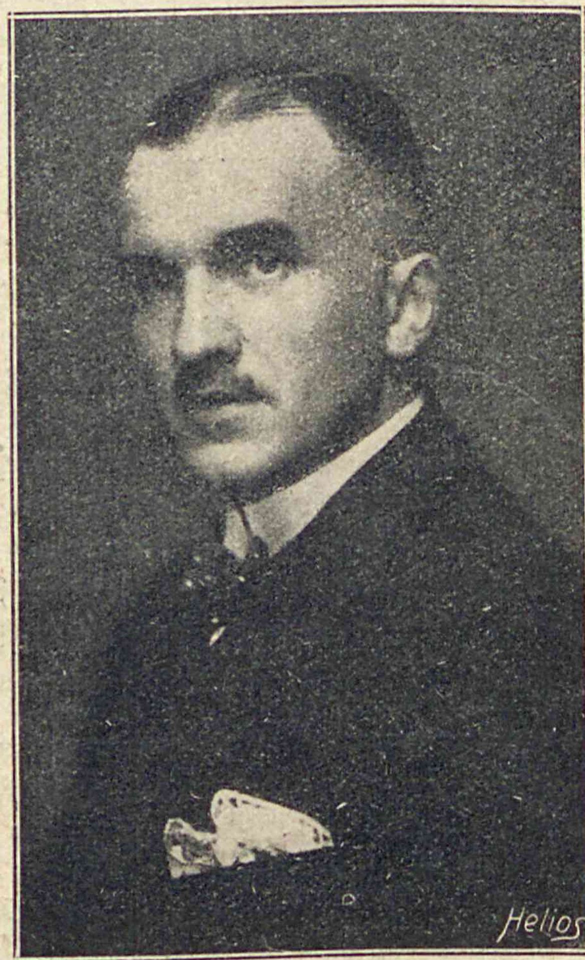
Pomnik ten stanie w Katedrze Św. Jana, będzie miał kształt polskiej kapliczki przydrożnej. Zawierać będzie ziemię, zebraną na polach bitew, zbroczonych krwią polską. W szkatułce szklanej, w srebro oprawnej, znajdą się dwie symboliczne ampułki, jedna z ziemią polską, druga — z ziemią francuską z pod Verdun. Uwieńczy kapliczkę Orzeł Biały, obejmując ją skrzydłami. Inne symbole i napisy uwydatnią znaczenie pomnika.

Komitet, realizujący tę szlachetną inicjatywę, zwraca się do ogółu polskiego o datki. Zwraca się przedewszystkiem do ojców i matek, do braci i sióstr, do żon i dzieci tych polaków, którzy polegli za Ojczyznę. Oto piękna sposobność uczczenia ich pamięci! Pomnik ten uwieczni pamięć wszystkich i każdego. Udział w jego budowie, — to spełnienie wobec drogich bohaterów obowiązku.

Ofiary przyjmują wszystkie polskie redakcje.

skrz.

Komisarz rządu na m. st. Warszawę.



Jan Jarmołowicz.

Komisarz Rządu na m. st Warszawę p Jan Jarmołowicz urodził się w 1883 r. na Żmudzi. Po ukończeniu szkół średnich uczęszczał na wydział prawny uniwersytetu w Warszawie i Moskwie. Po ukończeniu uniwersytetu, przeszedłszy praktykę sądową, pełnił obowiązki sędziego śledczego w Warszawie.

W czasie okupacji pozostał w Warszawie i brał czynny udział w organizowaniu Sądów Polskich. Powołany do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, następnie na Naczelnika Wydziału Mieszkaniowego, a wreszcie na Naczelnika Wydziału Porządku Publicznego Policji, pozostawał w Min. Sp. Wewnętrznych aż do chwili mianowania Go Komisarzem Rządu na m. st. Warszawę. W czasie pobytu Pary Rumuńskiej otrzymał order Komandorski Gwiazdy Rumuńskiej.

TRAGIZM RZECZYWISTOŚCI.

Zofja Rygier-Nałkowska: „Romans Teresy Hennert". (Wydawnictwo Ignis).

Zadziwiająca to rzecz, że nasza,—tak zwana,—lewica literacka zdobywa się pierwsza na powieściową ocenę polskiego życia współczesnego. Właśnie ci pisarze, którzy przez całe lata byli doboszami niepodległości i upajali się radością „z odzyskania utraconego śmietnika", stają w obliczu zrealizowanego ideału, z grymasem negacji na ustach, z odruchem protestu, niemal z gotowym światopoglądem rowolucyjnym.

Po „Generale Barczu" Kaden-Bandrowskiego, pani Rygier-Nałkowska w „Romansie Teresy Hennert" wystąpiła ze subtelną wprawdzie, ale już nieprzejednaną krytyką dnia dzisiejszego. Skąd te nowe i nieznane dotąd akcenty u znakomitej autorki „Hrabiego Emila"? Skąd ta pasja wywlekania na światło dnia i słońca tych wyklętych dotąd w naszem społeczeństwie typów? Skąd tyle goryczy, żółci i żalu w każdej niemal postaci, epizodzie i djalogu?

Nałkowska daje nam krótki, przelotny przekrój społeczeństwa, przywalonego ponurym dramatem naszej rzeczywistości. Mieli być bohaterowie i prorocy, a są tchórze, nędznicy i paskarze. Miał się ziścić cudów cud, a urzeczywistnia się „gromada zrujnowana i rozkwitająca, walcząca i chciwa, bohaterska i paskarska".

Autorka znajduje w sobie dosyć serca i intellektu, aby to wszystko, co rozgrywa się na tle wielkomiejskiego salonu, szacherki ministerjalnej, ideowego szpiegostwa, zrozumieć i przebaczyć. Jest tak bardzo artystką, że każdej postaci stwarza jej tło odrębne, buduje najmisterniejszy mechanizm wnętrza.

Ale skoro tylko skrzętnie zbudowane figury puści w ruch, jak tylko rzuci je na wagę zdarzeń, decyzji i djalogu, — siłę argumentacji przerzuci na element najradykalniejszy.

I to jest w tej powieści najciekawsze. Snują się po niej rozmaici ludzie, jak figury z szopki zmartwychwstałej Polski; ludzie związani ze sobą bardzo luźno, niezbyt interesującą anegdotą powieściową; generałowie, porucznicy, wiceministrowie, dostawcy i spekulanci, oficerowie sztabowi, cudzoziemcy i kilka rozkosznie bezmyślnych kobiet. Każdy doskonale zobaczony, sam dla siebie, jako całość zamknięty, już usprawiedliwiony, zanim zdołano go poznać i ocenić, podpatrzony w drobiazgach i śmiesznościach.



P. Zofja Nałkowska wraz z mężem, p. Janem Gorzechowskim.

I tylko dwuch ludzi, wyrastających ponad pracowitą i rozpróżniaczoną przeciętność środowiska, żyje oddechem epoki, czasu i przełomu; dwuch ludzi, nie przeciwstawionych sobie wyraźnie, idących odmiennemi drogami, nierozumiejących się i niechętnych sobie, pomiędzy których autorka równomiernie niejako podzieliła swoje prawdy, ukochania i ideały.

Pierwszym jest pułkownik Omski. Ideał żołnierza i oficera, dla którego przełożony jest bogiem, a rozkaz — najwyższem objawieniem. I tylko na takiej abnegacji z czynnego indywidualizmu można było zbudować tak beznadziejny nihilizm uczuciowości i erotyzmu. Omski— oficer — to najbardziej precyzyjny, nigdy niezawodzący realizm, to szczyt i marzenie każdej armji, każdej państwowości, każdego organizmu, skierowanego ku zdobywaniu lub obronie. To najbujniejszy kwiat ideologji oświeconego militaryzmu, który jest świadomie tylko zbrojnem ramieniem. To człowiek, który pozwolił sobie wyjąć mózg, aby tem pewniej walczyć i wypełniać rozkazy.

I dlatego w psychice tego człowieka niema wogóle miejsca na zagadnienie równowagi między myślą a uczuciem, między sercem a mózgiem. Omski zakochany staje się pierwotnym i dzikim barbarzyńcą; niema w nim ani hamulców intellektualnych, ani zrównoważonych postanowień. Jak piorun, spada na niego miłość do Teresy Hennert, pięknej żony spekulującego arrywisty. Zdobywa ją brutalnością, zazdrością, dziką pasją zmysłów, koszarowem chamstwem i zatrwożeniem.

Z wielką precyzją odmalowała Nałkowska to pasożytowanie instynktu na zeszytwniałym w przepisach regulaminu intelekcie oficera. Wszystko, co odbywa się poza promieniem oddziaływania p. Teresy, przestaje nagle dla Omskiego istnieć. Służba, obowiązek, narzeczona, sprawa Polski. Jest tylko jego nienasycona miłość, niezdobyta kobieta i ten trzeci... nawet nie mąż, lecz dawny kochanek Sednowski, którym pogardza, którego nie widzi, któremu zazdrości, ach, jak zazdrości.

Romans p. Teresy kończy się nie tragicznie, lecz bestjalsko. Pułkownik Omski, nasycony miłością, ale nie uczuciem, zaspokojony, lecz nie spokojny, zabija swą kochankę w nocy, nad brzegiem wody i topi ją w jeziorze.

Ten motyw powieści jest demo-

niczny, opętańczy, psychologicznie niesprawdzalny. Wyposażony w zadziwiające bogactwo erotycznych subtelności, które przechodzą rozmaite warjanty, od zabawnego i groteskowo - poważnego stosunku małżeńskiego państwa Gondziłłów aż do zasznurowanej i bardzo oschłej uczuciowości panny Basi, porzuconej narzeczonej Omskiego.

Drugim człowiekiem powieści jest Andrzej Laterna. Młodzieniec dwudziestokilkoletni, bez wyraźnej tradycji życiowej, syn znanego profesora, przybysz z Rosji bolszewickiej, emisarjusz, agent, idealiste. Postać, która zgodnie z zamierzeniami autorki dźwiga na swoich ramionach cały ciężar gatunkowy środowiska. W nim, jak we wklęsłem zwierciadle, zbiegają się wszystkie nici tego polskiego mrowiska, któremu na imię Warszawa. Jest wszędzie, ma stosunki i tu i tam. Wprowadzany przez ojca, profesora wszechnicy, bywa na rautach generałowej Chwościkowej, na wyścigach warszawskich, na wyszukanych śniadankach, wśród oficerów i w sztabie. Nigdzie nie lubiany, nie budzący zaufania, jest złem sumieniem przeklętego czasu, jest również precyzyjną maszyną, ale maszyną intellektu i mózgu, której celem przewrót, rewolucja i rzekoma sprawiedliwość.

Wszystko, co mówi młody Laterna o dniu dzisiejszym, o jego hasłach, o państwowości, o pojęciu ojczyzny i rewolucji, zmusza do refleksji i namysłu. W jednem miejscu powiada; „W formule: Bóg i Ojczyzna zawiera się antynomja i bluźnierstwo. Bóg jest tem, co ludzi w najwyższych ich tęsknotach godzi i jednoczy, Ojczyzna tem, co według najwyższych haseł— dzieli. Ojczyzna przywraca politeizm: każda armja do swego Boga modli się o zwycięstwo. Lepiej by milczeli, zanim, śpiewając hymny wojenne, rozdzierać zaczną w strzępy — Boga, ojca ludzi, który jest właśnie nadaniem wszystkim jednej wspólnej nazwy: braci...“

Tak rozumuje w każdej sytuacji powieściowej Andrzej Laterna i dlatego nic dziwnego, że na tle dzisiejszej Polski jest albo anachronizmem, albo zbrodniarzem.

Podziwiać należy odwagę, z jaką p. Rygier-Nałkowska przystąpiła wbrew wszelkim suggestjom obecnego momentu do zdzierania maski frazesu i obłudy z patrjotyczno-państwowego świętoszkostwa. Podziwiać należy tem więcej, że wybrała sobie stanowisko najniewdzięczniejsze, pozycję z góry straconą i przegraną. Ale zawsze świadczyć to będzie i o wyjątkowej intuicji artystycznej i o niepospolitej—jak na nasze stosunki— sile przemyślenia problematu społecznego.

Bo „Romans Teresy Hennert“ jest tylko pozornie powieścią i tylko pozornie skrótem obyczajowym dnia dzisiejszego. Konstrukcja powieści opiera się głównie na elemencie opisowo - psychologicznym. Brak w niej żywego tempa zdarzeń, które musi być odpowiednikiem rewolucyjnej przemiany myślenia. Obok kapitalnych, naprawdę mistrzowskich epizodów, opis wyścigów, scena pojednania małżeńskiego,—bardzo wiele nadmiernej opisowości, trochę dydaktycznej i dlatego ociężałej. Spostrzegawczość autorki jest imponująca, chociaż jakby w sobie rozkochana. Dlatego każda postać występuje w tej książce odrazu, od samego początku jest nazwana z imienia i z charakteru. Nie mamy ani niespodzianki, ani przypadku. Życie u tych ludzi zamyka się w ułożonej z góry psychologji.

Błąd ten jest rezultatem specyficznej techniki powieściowej. Nałkowska za dużo wie o każdej postaci, aby jej pozwoliła swobodnie działać, a wiedząc za dużo, opisuje ją zbyt dokładnie. I dlatego „Romans Teresy Hennert“ jest w dużej mierze zbiorem biografij poszczególnych typów, a w mniejszym stopniu obrazem ich działań, zamierzeń i rozmów.

Należało podnieść ten zarzut natury czysto formalnej ze względu na wyjątkowe piękno i ideową wartość książki. Tragizm rzeczywistości, o którym tak głęboko mówi Nałkowska w jednym z nielicznych djalogów powieści, narzuca się z taką siłą dzisiejszemu pokoleniu, że dla pracy wyzwoleńczej właśnie powieściowy wysiłek młodej literatury staje się artystycznym postulatem. Zwolnieni z frazeologji romantycznej, musimy zacząć przeorywać zachwaszczony grunt życia współczesnego.

A wartość ostatniej książki Rygier-Nałkowskiej na tem głównie polega, że jest ona świetnym szkicem przyszłej powieści o tragicznem zmaganiu się rzeczywistości z ideałem, który miał wcielić się w życie.

Emil Breiter.



Teatry Paryskie.

„Moja kuzynka z Warszawy“, nowa komedja p. Ludwika Verneuil'a, Théâtre Michel.

P. Verneuil jest znanym w Warszawie, jako autor „Kochanka od serca“. W Paryżu należy obecnie do autorów najbardziej poszukiwanych. Posiadł odrazu po mistrzowsku technikę komedjopisarską, łączy nerw sceniczny z wykwintnym dowcipem. Jego „Fotel № 47“ cieszy się dużem powodzeniem. Teraz nowy sukces osiągnął komedją, która nosi tytuł: „Ma cousine de Varsovie“.

Kimże jest ta „kuzynka“ z Polski? Młodą i uroczą kobietką dość lekkich obyczajów. Przypadła jej trudna rola. Pani Burel, zaniedbywana przez męża, kocha się w jego przyjacielu, p. Carteret. Ale zjawia się mąż, chce odzyskać żonę. Więc proponuje „kuzynce“ z Warszawy, by rozkochała w sobie p. Carteret. Tą samą bronią jednak chce walczyć i pani Burel: proponuje „kuzynce“, by rozkochała w sobie p. Burel'a...

Kuzyneczka, która nosi iście polskie imię i nazwisko „Soni Varilrony“, przyjmuje obie misje. Wpada wszakże we własne sidła, zakochuje się bowiem sama w kochanku pani Burel, p. Carteret.

W walce o kochanka zwycięża paryżanka. „Kuzynka“ z Warszawy mogłaby wprawdzie być szczęśliwą z mężem, który uległ jej powabom. Nie kocha go, — woli pojechać w świat. Rolę swą spełniła, nie dla niej szczęście we wzajemnej miłości. Ta nuta melancholji, którą się kończy wesoła komedja, przypomina w zasadniczych linjach „Kolombinę“ Krzywoszewskiego...

Sensacją premjery było powodzenie, które zdobyła w tytułowej roli rumuńska artystka, p. Elvira Popesco. Zdaje się, że p. Verneuil specjalnie dla niej napisał tę sztukę. Jako polka bowiem, bukareszteńska Sonia z Warszawy mówi po francusku z okropnym akcentem i używa niesłychanych wyrażeń, które budzą na widowni nieustanną radość. Ale wiadomości o Polsce, jakich p. Verneuil składa w swej komedji dowody, świadczą, że w pewnych paryskich kołach literackich Polska pozostała krajem mało znanym.

Paryż. *g.*



Z Teatru Rozmaitości.



P. Majdrowiczówna, jako olśniewająca urodą i poetycznym wdziękiem „Burmistrzanka" w „Ptaku" J. Szaniawskiego. Fot. J. Malarski.

„Dedé" w Wodewilu.

P. Szczawiński, dyrektor tego teatru, wykazuje godną uznania ruchliwość i zabiegliwość. Nie trzyma się ckliwego i nudnego szablonu operetkowego, który dotychczas miał w Warszawie monopol. Wystawił niedawno „komedję muzykalną"—miłą „Dorinę". Teraz zaprezentował nowy typ operetki francuskiej, której autorami są pp. Christine i Vuillemetz, a która nosi tytuł „Dedé".

Przed kilkudziesięciu laty, za sprawą Offenbacha, Lecocq'a, Audran'a i innych, operetka francuska dzierżyła prym w całym świecie. Potem zdetronizowali francuzów wiedeńczycy, których znów ubiegł wkrótce—fabrykacją łatwą i ściśle zastosowaną do złego smaku szerokiej publiczności,—Berlin. Billig und schlecht!

Z jakąż radością wita się, na szczęśliwą odmianę, produkt francuski! „Dedé" nie jest arcydziełem. To prawda. Ale zarówno libretto jak muzyka pozbawiona jest tej płytkiej sentymentalności, która wylewa się w operetce niemieckiej. Ze sceny odezwała się pogodna, swawolna radość życia, humor dla humoru, więc czasem w konflikcie ze zdrowym sensem, któżby jednak o to proces wytaczał. Paryski wdzięk, rozkoszny, powabny, okupuje sowicie brak logiki, która w niemieckiej operetce czyni tak mozolne a daremne najczęściej wysiłki. I muzyka pozbawiona jest pretensjonalności, nie kroi na operę, nie wzlata górnie, by osiąść zazwyczaj na mieliznach banalności. W „Dedé" muzyka jest bardzo uproszczona, sprowadzona do frywolnej piosenki, w której wesołość, przekora i zdziebko uczucia łączą się w harmonijną całość.

Wykonanie na ogół wcale dobre, p. Redo zawsze olśniewa temperamentem, p. Sokołowska czyni niewątpliwe postępy, debjut pani Herten wypadł pomyślnie. Gdyby p. Szczawińskiemu jeszcze udało się dla swej imprezy zdobyć inny gmach, z odpowiedniejszą sceną i z wykwintniejszą widownią —jego praca i talent organizatorski znalazłyby daleko szersze warunki rozwoju. Tego mu życzyć należy.

K.

Francuz o Polsce.

W grudniu r. ub. ukazała się jako dodatek do urzędowego wydawnictwa francuskiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu w Paryżu, p. n. MONITEUR OFFICIEL du COMMERCE et de l'INDUSTRIE", monografja o Polsce pióra hr. de Gontaut-Biron, Radcy Handlowego Poselstwa Francuskiego w Polsce.

Dowodzi ona źródłowego opracowania materjału, oraz znajomości stosunków miejscowych i służyć może za do-



Hr. de Gontaut-Biron.

skonały podręcznik informacyjny nietylko dla francuzów, interesujących się Polską, lecz także i dla samych polaków.

Broszura powyższa przekonać może czytelnika, że działalność radcy handlowego, o ile jest dobrze ujęta, może być wielce owocną nie tylko dla kraju przezeń reprezentowanego, ale też i dlatego, w którym rezyduje.

Powszechnie znany autor, posiadający gruntowny podkład naukowy i niemałe doświadczenie, ujął przedmiot nadzwyczaj rzeczowo, przedstawiając w zwięzłej treści, ilustrowanej ciekawemi wykazami statystycznemi, całokształt współczesnego stanu ekonomicznego naszego kraju,

Ciekawą tę broszurę nabyć można w Warszawie w Izbie Handlowej Polsko-Francuskiej,




R. Chojnacki, dyrektor Filharmonji warszawskiej, którego energja wielce przyczyniła się do wznowienia koncertów.


Grzegorz Fitelberg, znany kapelmistrz, objął kierownictwo koncertów symfonicznych.



Piotr Rytel, znany kompozytor, dyrygował własnym poematem symfonicznym p. t. „Korsarz".



Z. Drzewiecki, znany pianista, grał z powodzeniem koncert F-mol Chopina.

WSKRZESZENIE FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ.

Upadek Filharmonji w bieżącym sezonie na jesieni miał jedną dobrą a nawet cenną stronę: Przekonał publiczność stolicy o konieczności posiadania instytucji symfonicznej. Już pożegnalny cykl koncertów cieszył się wielkiem powodzeniem i nadzwyczaj liczną frekwencją. Wieczory urządzane później, pod groźbą braku stałej orkiestry, były przepełnione. Okazało się, że publiczność nasza muzykę poważną ceni, nawet kocha, a jeżeli nie zapełniała audycyj w czasie sezonu, to jedynie dlatego, że miała te audycje zapewnione niejako i mogła sobie była odkładać „swój koncert" z wieczoru na wieczór i z tygodnia na tydzień.

Krótkie, na szczęście, doświadczenie z zamknięciem pierwszej i jedynej instytucji symfonicznej polskiej niechże nam będzie nauką na przyszłość. Nie odkładajmy naszego pójścia na koncert, — by Filharmonja pracy swej też odłożyć nie musiała. Pamiętajmy o tej instytucji tak, jak pamiętał o jej ponownem otwarciu Prezydent Rzeczypospolitej, który uświetniając swą obecnością pierwszy koncert piątkowy, zaznaczył w ten sposób doniosły charakter powracającej do życia placówki kulturalnej.

Ze szczerą radością witano na koncercie piątkowym wszystkich dawnych znajomych naszego zespołu symfonicznego. Przedstawia się on, jak na nasze stosunki w dość pokaźnej liczbie (14 cie pierwszych skrzypiec) przeważnie w dawnym, wypróbowanym od lat składzie. Ten zbiorowy instrument symfoniczny zdolny jest, jak się okazało raz jeszcze pod batutą wybornego kapelmistrza kolońskiego Abendroth'a, do najsubtelniejszych odcieni, do świetnej równowagi rytmicznej, posiada też skalę dynamiczną pierwszorzędnej rozpiętości.

Rzecz jasna, że w wykonaniu Beethovena indywidualność kapelmistrza, jakim jest Abendroth, posiada głos stanowczy. O ile jednak przyjmiemy, że kapelmistrz ten o typie analitycznym, bardziej dbający o mistrzowskie zrównoważenie szczegółów i planów, niż wielki romantyczny polot całości, stawia orkiestrze niezmiernie trudne zadanie do rozwiązania,—to zgodzić się będziemy musieli, że zespół filharmoniczny wywiązał się ze swej roli znakomicie. Orkiestra zdolna do takiej precyzji brzmienia i tempa, kwintet smyczkowy władający taką elastycznością, jakąśmy słyszeli w Beethovenie — pokusić się mogą o wszystkie zadania tak repertuaru wielkich cyklów, jak też współczesnych zdobyczy muzycznych.


Stanisława Korwin-Szymanowska, świetna śpiewaczka estradowa, odtworzyła pieśni H. Melcera, zdobywając powszechne uznanie.

Mamy wrażenie, że Pierwszy Wielki Koncert Symfoniczny spełnia już część obmyślanego programu, wprowadzając „premjery" kompozytorów polskich, t. j. Melcera i Rytla, oraz przypominając dzieła znane a tak mało grane (Lilje, Szopski).

Żywimy nadzieję, że kierownicy dyr. Melcer i Fitelberg poprowadzą instytucję w nadmienionym wyżej kierunku. To znaczy, że utrzymując na afiszu wielkie podstawowe cykle (Haydn, Mozart, Beethoven, Brahms, Czajkowski), że rozszerzywszy także bodaj o kilka nowych zdobyczy epokę przedostatnich nowatorów (Debussy, Ravel, Mahler, Reger, Skrjabin i t. d.), pracować będą w kierunku zapoznania publiczności z współczesną twórczością polską i światową.

Jedna i druga tak, jak są związane w praktyce życia, tak też równorzędnie iść winny przez afisz. Źleby było, gdyby Filharmonja oddała się wyłącznie swojskim kompozytorom na niekorzyść nowości zachodnich i źle, gdyby te ostatnie kosztem polskiego twórcy w programie utrzymywała. Wszak samoistny charakter sztuki czy kierunku zdobywa się nie przez zamykanie oczu na to, co się u sąsiadów dzieje, a przeciwnie przez współdziałanie z wysiłkami współczesnych.

Jak już powiedzieliśmy wyżej orkiestra Filharmonji sprosta najtrudniejszym zadaniom Sił wirtuozowskich nie brak nam pod żadnym względem. Dość wspomnieć solistę koncertu piątkowego, p. Z. Drzewieckiego, który we współczesnym repertuarze pianistycznym tak wiele

Stulecie klasztoru Bernardynów w Alpach.



Kościół św. Bernarda, który niedawno obchodził setną rocznicę.

ma do powiedzenia. Dalej Turczyńskiego, Dubiskę, W. Kochańskiego i t. p.

Gorzej jest z siłami kapelmistrzowskiemi. W tej mierze czekamy od artystycznego kierownictwa Filharmonji koniecznej inowacji. Filharmonja powinna dawać gościnę dyrygentom lwowskim, krakowskim, poznańskim. Jako nowość swego rodzaju pociągną oni napewno publiczność, z drugiej zaś strony, dzięki wymianie tradycji z naszym zespołem, przyczynią się do żwawszego obiegu w tak powolnie rozwijającem się u nas życiu muzyki symfonicznej.

Wreszcie sprawa Oratorjum. Jak wiadomo, posiadamy już chóry wcale tęgie i dość już daleko w sztuce zespołu posunięte. Zapewne,—chórów tych nie zelektryzuje zaproszenie na jeszcze jedno odśpiewanie Rossiniego, czy jeszcze jedno „wykonanie" IX symfonji. Kto wie jednak, czy, gdyby przystąpiono celowo do pracy nad przygotowaniem Bachowskiej Passji, lub gdyby zaczęto raz jeszcze od Monteverdiego, słowem, kto wie, czy plan głęboki i poważny nie wykrzesałby energji, koniecznej do rozpoczęcia pracy poważnej w kierunku oratorjum.

Filharmonja Warszawska powraca do życia pod najlepszemi auspicjami. Na jej czele stoją doskonali artyści, jak Melcer i Fitelberg. Znalazła ofiarnych mecenasów. Zarząd techniczny spoczywa w wypróbowanych rękach p. Chojnackiego. Orkiestra nie uszczuplona w dobrym i silnym składzie. „Miarodajne czynniki" jaknajlepiej usposobione. Publiczność chętna i ciekawa. Cały szereg młodych i zdolnych wirtuozów. Dobre chóry niejako już pod ręką.

Miałożby się nie udać? Wierzymy, że przy dobrej woli artystów i sprężystości organizacyjnej kierownika technicznego Filharmonja cieszyć się będzie wzięciem, powodzeniem. Wierzymy też, że jeżeli nie na wiosnę, to już na przyszłą zimę rozbrzmiewać będzie w jej murach św. Jan czy Mateusz Jana Sebastjana Bacha.

jkb.

Zgon wybitnego polityka i parlamentarzysty.



Ks. dr. Kazimierz Lutosławski.

Dnia 5 b. m. zmarł w 45 roku życia w majątku rodzinnym Drozdowie, ziemi Łomżyńskiej, ks. Kazimierz Lutosławski, doktór świętej teologji, doktór medycyny, prałat papieski, poseł na sejm. Reprezentował on związek ludowo-narodowy. Był jednym z kierowników ideowych tej organizacji. Śmierć ks. Lutosławskiego wyrządza tej organizacji dotkliwą stratę. Wyróżniał się dużą wiedzą, wielką pracowitością i płynną swadą oratorską.

Nowe doniosłe odkrycie w dziedzinie paleontologji.

Dinosaur, zwierzę olbrzym z przed 10-ciu miljonów lat.

Ile lat właściwie ma ziemia? Któż jest w stanie zamknąć jej istnienie w liczby? Geolodzy znają jej istnienie z przed miljonów lat. Przyrodnicy - paleontologowie również stwierdzają życie na tej naszej planecie od miljonów lat.

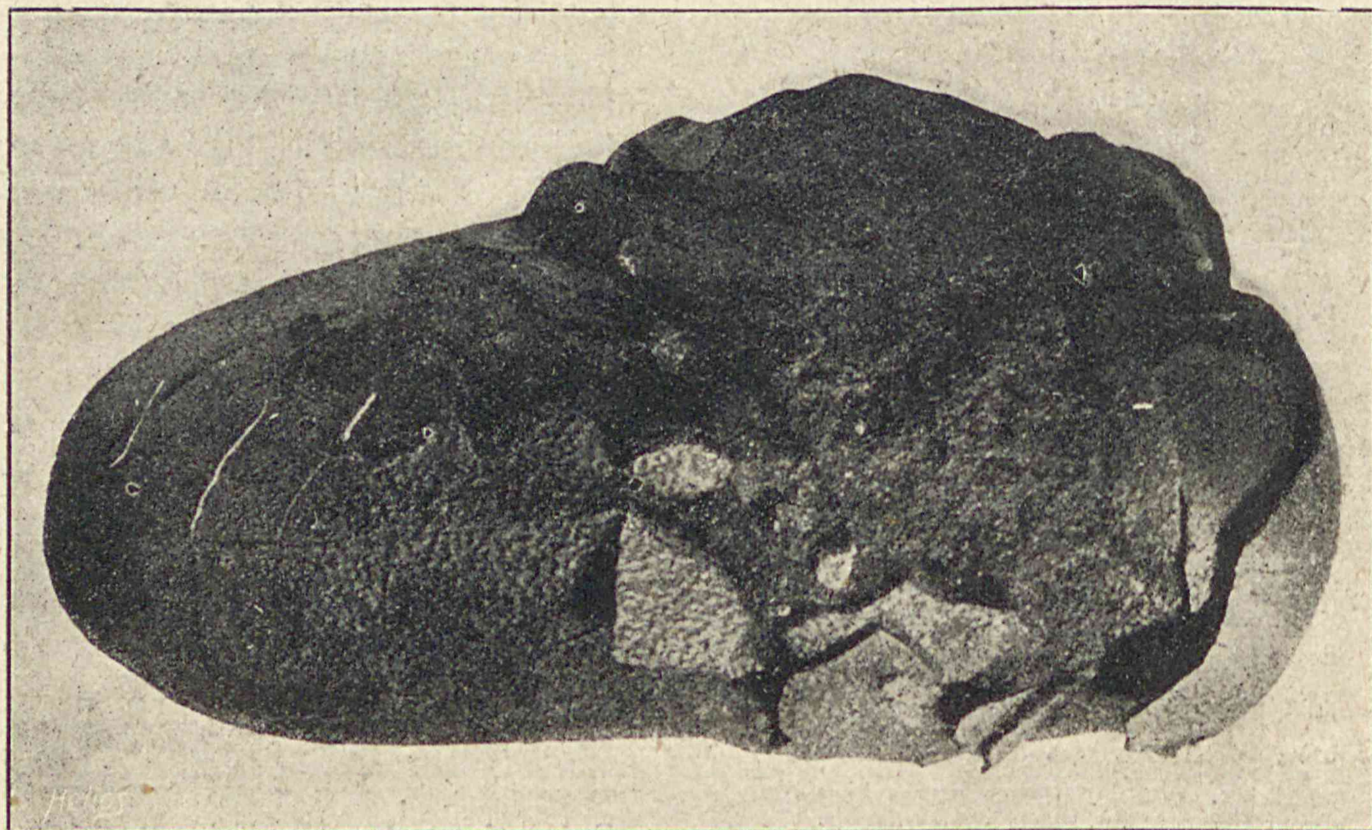
Z roku na rok udaje się też odnaleźć rodzaje zwierząt, które wydawały się tylko przywidzeniami fantazji przyrodniczej. Ileż to ciekawych uwag wywołało odkrycie ichtiosaura?

Obecnie cały świat cywilizowany zainteresował się nowem odkryciem w tej dziedzinie. Dokonał go dr. Roy Chapman Andrew, dyrektor amerykańskiej ekspedycji naukowej do Mongolji. Długo zastanawiano się, czy istnienie jakiegoś zwierzęcia, będącego czemś pośredniem między pełzającymi a ptakami, jest realną naukową hipotezą, czy też należy mniemanie to zaliczyć do kategorji licznych fantazji.

Traf zdarzył, iż darwinistyczne teorje coraz więcej znajdują potwierdzeń. Dr. Roy Chapman Andrew odnalazł w Mongolji liczne kości przedhistorycznego zwierzęcia, które było właśnie owym pośrednim gatunkiem między pełzającymi a ptakami. Zwierzę to było olbrzymem. Żyło mniej więcej przed dziesięcioma miljonami lat. Dr. Andrew nazwał je dinosaurem.

Wraz z kośćmi tego zwierzęcia również na równinie mongolskiej ten sam uczony odnalazł i jaja, pochodzące od tego zwierzęcia. Odkrycie to jeszcze więcej zainteresowało świat przyrodniczy, gdyż paleontologja dotychczas nie miała możności ani razu zetknąć się z biologicznemi zabytkami dawnych zwierząt. Odnalezione jaja dinosaura są koloru szaro-brunatnego. Jedno z nich zawiera embrjon tego zwierzęcia tak dostatecznie rozwinięty, iż daje możność biologom do poczynienia całego szeregu naukowych obserwacji.

Zwierzę z przed 10 miljonów lat „dinosaur".



Jajko dinosaura, odnalezione w pustyni mongolskiej u podnóża gór Ałtajskich. Pustynia ta kryła w swojem łonie jajko to przez 10 miljonów lat.

Nasi sprzymierzeńcy.



Król Ferd. Rumuński, wraz z następcą tronu na polowaniu.

Krwawe znaki tego, co było.

STRZĘPY EPOPEI.

Historyk wielkiej wojny, gdy wróci retrospektywnie do tych czasów i dotknie zagadnień związanych z Polską, będzie miał kłopot nielada z ustaleniem jakiejś ogólnej orjentacyjnej podstawy. Kto miał rację? Kiedy to było? Decydowały przecież o tem nieraz dni. Kto był politykiem realnym? Kto łudził się pozytywnością swoich sądów?

Nie można też o tych czasach pisać pod kątem orjentacji politycznych. Zmieniały się one bowiem w zależności od wypadków. Co jednak bezwzględnie musi być uszanowane i co napewno oddalenie wyolbrzymi, wygloryfikuje—to idealizm, poświęcenie, wierność sztandarom narodowym i niezłomność w dążeniu. Niezłomnością tą wyróżniały się nasze żołnierskie formacje, o ile znalazły na czele ludzi na odpowiednią miarę.

Historja naszego żołnierstwa będzie więc jedną z najbardziej ważkich kart z tych czasów. Dobrze też robią uczestnicy tych różnych formacji, że skrzętnie zapisują swoje przeżycia. Taki dokument osobisty jest niezwykle cenny. Zawiera prawdę subjektywną o tonie moralnym, który musi zdecydować w ocenie tej czy innej postawy wobec wydarzeń.

Ukazała się obecnie książka p. Melchiora Wańkowicza pt. „Strzępy epopei", której treść przynosi tylko przyczynki do zrozumienia faktów wojskowych. P. Wańkowicz nie pisze tych swoich przyczynków w formie raportów. Są to barwne opowiadania, raczej beletrystyka, niż jaki inny rodzaj prozy.

Krwawe to znaki tego, co było, a co p. M. Wańkowicz nazwał „Strzępami epopei". Zapłaciliśmy krwią naszych braci te stroniczki pełne brawury, nieopisanego bohaterstwa, piekielnego cierpienia i upokorzenia, by wreszcie nad ojczyzną naszą przepłynął jasny anioł zwycięstwa i niepodległości. Są wprawdzie jeszcze tacy ludzie w Polsce, którzy uważają, że wolność tak jakoś spontanicznie wybuchła. Nie rachują oni widać ofiar poległych u granicznych kopców. Nie doceniają poświęceń tylu pokoleń i nie chcą spojrzeć w oczy tych, co przemierzali fronty w lata niedawne.

Książka p. M. Wańkowicza upomina się o ich cześć. Jednako sławi ona bohaterstwo Pasika, jak i brawurę Romera, Mościckiego, Lisa. Nawet na dobro jej należy zapisać, że tak jakoś cieplej mówi o „wiejskim, prostym osiłku, docenia jego prosty animusz.

Wśród opowiadań zamkniętych w tym tomiku na plan pierwszy wyrzyna się: „Noc z 21 na 22 maja w I korpusie wschodnim". Te kilkanaście stronic przejdzie do historji, jako wyjaśnienie książki gen. Dowbor-Muśnickiego o pierwszym korpusie. Z opowieścią tą musi się zresztą liczyć każdy obywatel, chcący mieć pełne pojęcie o tem, co się działo wtedy w Bobrujsku. Gen. Dowbor-Muśnicki ochrzcił ruch antyniemiecki w swoim korpusie po oddaniu się do dyspozycji Radzie Regencyjnej, jako bolszewicki. P. Melchior Wańkowicz sprawą tę inaczej przedstawia. Był on osobiście zaangażowany w te wydarzenia. I cóż on pisze? Daje dokładny przebieg historji tej słynnej nocy.

Wojsko czekało tylko na rozkazy, by wystąpić z bronią w ręku. P. Wańkowicz dostał się nawet pod sąd. Mówi on: „Na sąd ubrałem się w mundur, z którego poleciłem spruć wszelkie oznaki. Sfery sztabowe były pełne świętej wiary, że kierował nami bolszewizm, sam generał udawał przekonanie, że jesteśmy agentami, płatnymi przez Niemców".



P. M. Wańkowicz.

Chodziło jednak o co innego. Piłsudski rzucił rozkaz, by broni nie składano i za wszelką cenę prowadzono walkę z Niemcami. Mandatarjuszem tego rozkazu był pułkownik Lis-Kula, który później bohatersko poległ. Rozkaz ten nie był na rękę władzom I go korpusu; oddała się ona do dyspozycji Rady Regencyjnej i nie potrafiła później samodzielnie występować.

Książka p. M. Wańkowicza zawiera jeszcze tak ciekawe opowiadania, jak „Wyprawa i śmierć pułk. Mościckiego", „Śmiały zdobywa, Przemyśl i Lwów", „Budienny idzie", „Odwrót" i „Zwycięstwo". Każda z tych rzeczy jest odtworzeniem przeżyć osobistych autora i jako taka posiada wartość dokumentu.

„Strzępy epopei" napewno będą czytane nietylko przez pokolenie nasze. Sięgnie po nie historyk, weźmie do rąk i wnuk ze wzruszeniem. Jest to przecież już relikwia czasów niedawnych a jakże tragicznych.

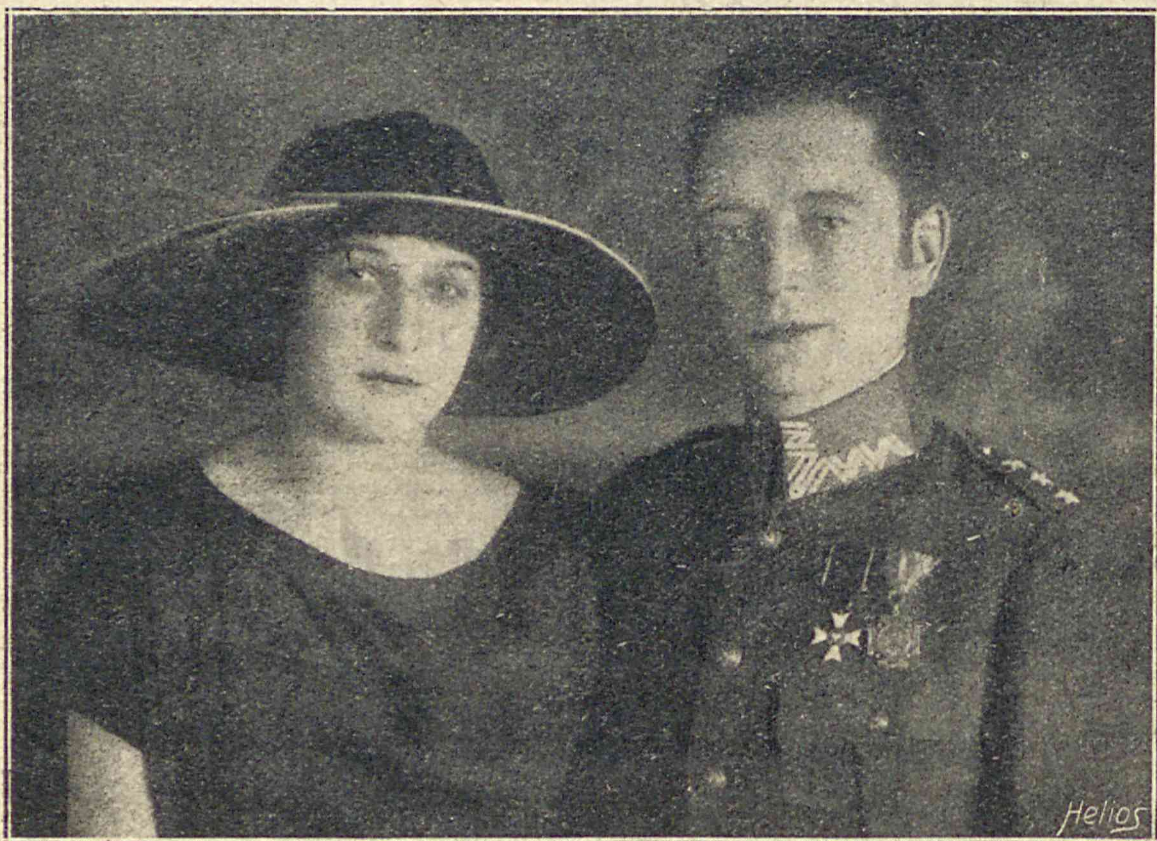
F.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ.




P. Halina z Evertów i Stefan Glanińscy.

W dniu 29 grudnia 1923 r. w kościele Ewangelicko-Augsburskim pobłogosławiony został związek małżeński między p. Haliną Evertówną, córką znanego kupca i przemysłowca, a p. Stefanem Glanińskim, oficerem wojsk polskich.



P. Halina Stegwił-Laudańska i kap. rez. Józef A. Gawrych.

W kościele parafjalnym w Dakowach Mokrych odbył się dnia 28 listopada br. ślub p. kap. rez. Józefa A. Gawrycha, znanego działacza społecznego na G. Śląsku, kawalera orderu „Polonia Restituta", z panną Haliną Stegwil-Laudańską, córką dowódcy 73 p. p. w Katowicach, pułk. Anatola Laudańskiego i p. Aleksandry z Martyszewskich. Ślubu udzielił wuj pana młodego, ks. prob. Grośty, podejmując po skończonej uroczystości gości weselnych śniadaniem na probostwie. Uczta weselna odbyła się popołudniu u krewnych młodej pary, państwa Marmurowiczów w Niemierzycach. Na cele dobroczynne na G. Śląsku złożono 21 miljonów mkp. Z rozlicznych telegramów gratulacyjnych wymienić należy telegramy wicepremjera Korfantego, generałów Dowbór-Muśnickiego, Raszewskiego, Horoszkiewicza.

R.

Kalendarz Harcerski na rok 1924.

Kalendarz Harcerski jest pierwszorzędną książką propagandową omawiającą w kilkunastu artykułach najważniejsze zadania Harcerstwa, oraz dającą obraz obecnego stanu tej organizacji. Redakcja Kalendarza postarała się o danie czytelnikowi ciekawego materjału, który zapewne posłużyć może do zainteresowania Harcerstwem starszego społeczeństwa. Ma też znaczenie Kalendarz dla pracowników harcerskich, którzy znajdują w nim cały szereg informacji i danych o Związku.

Nowy minister rolnictwa.



Stanisław Janicki, ponownie mianowany ministrem rolnictwa i dóbr państwowych. Piastował już tę tekę w gabinecie J. Paderewskiego.

Zamach na japońskiego następcę tronu.



Książę Hiro-Hito, do którego strzelał jakiś Japończyk, na szczęście, bezskutecznie. Sprawcę aresztowano.

NAJWIĘKSZA TRAGEDJA KOBIETY.

Przechodniu! Codziennie mijasz na ulicy tysiące kobiet, których nie zauważasz, i setki urodziwych, dobrze ubranych, z wesołym wyrazem twarzy, ponętnie uśmiechniętych, które obdarzasz—czasem powłóczystem—spojrzeniem.

Nie będziemy mówili o tych, których nie zauważyłeś. Ale nie sądź, że te uśmiechnięte idą przez życie jasne, jak ich wiosenne kostjumy, i radosne, jak ich kapelusze.

Każda kobieta dźwiga na sobie, prócz futra zimą i *cape'u* latem—tragedję.

Tak jest, tragedję.

Większość mężczyzn wyraża się o tragedjach kobiecych z ironją, przekąsem, a w najlepszym razie — z politowaniem.

— Znamy te wasze tragedje (tak mówią oni): nieudany kapelusz, albo zbyt piękna suknia przyjaciółki. Awantura z kucharką, przyciasny bucik, brak drobnych na gospodarstwo.

Oczywiście, można każdą rzecz zbagatelizować, ale jakiem źródłem rozpaczy stać się może suknia, którą odesłano z magazynu na pięć minut przed pójściem na bal, jeżeli suknia ta ma widoczną „poprawkę", ten tylko wie, kto choć przez chwilę widział kobietę w takim momencie jej życia.

— Ja nie pójdę—woła zirytowana— za nic w świecie... nie chcę być pośmiewiskiem.

Jeżeli mąż, lub inny świadek, stara się przekonać, że nie jest tak źle, że wogóle trudno jest zauważyć tę „poprawkę", kobieta wpada w dziką pasję.

— Naturalnie ty chcesz, żebym się skompromitowała, żeby ta idjotka Zosia mogła tryumfować, żeby ze mną nikt nie tańczył. Ty zawsze... Ja nie pójdę. Ja im zrobię skandal (w magazynie). Ja podam do gazet, że mi zepsuli materjał...

Kobieta rozpacza, rozpacza, rozpacza i w końcu wkłada suknię (z tragiczną miną) i idzie na bal, gdzie tragedję ukrywa głęboko, strasznie głęboko pod poprawką, gdyż uśmiech ma już anielski, jak gdyby nigdy nic.

A co przeżyje kobieta, gdy ma u siebie gości na proszonym obiedzie, z kucharką pokłóci się właśnie pół godziny przed obiadem, a ta na złość przypali zająca, a nie dobije kremu. Tego mógł nawet nikt z gości nie zauważyć, ale kobieta wie i przeżywa wewnętrznie ten dramat, który dopiero wybucha po odejściu gości.

— Oni nic nie mówili, ale ja widziałam uśmiech Heli. Ty mówisz, że nie był przypalony?!! Bo ty zawsze stajesz w obronie służby. To te twoje lewicowe przekonania (albo prawicowe) demoralizują kucharkę. Zaraz jej powiem.

A jednak i tragedje toaletowe, i przykrości ze służbą, i nieporozumienia małżeńskie, i zmartwienia na tle waloryzacji, dewaluacji, stabilizacji i inne gospodarskie przeżycia, jak masło, szynka, jaja, mięso, wszystko to blednie wobec jednej jedynej największej tragedji.

Tragedji tej na imię — linja, to jest brak linji.

Najważniejszą dziś rzeczą jest *linja*.

A połowa kobiet, u nas, przychodzi na świat z linją, a jedna dwudziesta piąta tej połowy linję zachowuje. Zaś reszta kobiet, u nas, posiada tuszę. To jest straszne.

Dawniej, gdy ideałem figury była „jak osa w pasie", kobieta ściskała się w sznurówkę przy pomocy domowników i osiągała owe pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt centymetrów w pasie.

O ile cięższe zadanie posiada dzisiejsza kobieta. Musi być szczupłą! Broń Boże, chudą! Musi mieć wszystko rozmieszczone w porcjach i proporcjach, które stanowią linję.

Paryż jest dlatego najważniejszą, najpiękniejszą i najszczęśliwszą stolicą świata, bo tam wszystkie kobiety mają linję. W teatrze, na ulicy, w restauracji, w dancingu, kinie, wszędzie spotyka się kobiety urocze, smukłe, wiotkie, z linją. Czasem bez twarzy, ale zawsze z linją.

Czasem cudzoziemiec, zwiedzający Paryż, zastanawia się, czy są w Paryżu kobiety tęgie i co robią?

— Chudną — odpowiada z dumą paryżanin.

Duma paryżanina z racji tak błahej, pozornie, nie jest jednak dowodem szowinizmu. Doprowadzanie się do linji wymaga bardzo wielkiej siły charakteru i wytrwałości, którą nie każda kobieta pochwalić się może.

Tragedja kobieca na tle linji wybucha zazwyczaj nagle i nieoczekiwanie.

„Z przyczyny" wybornych pączków w Ziemiańskiej, czy jeszcze lepszych marcepanów od Framboliego panna Ziutka nabrała pełnych zaokrągleń, niedopuszczalnych zgoła. Dowiaduje się od jednej z przyjaciółek, oczywiście w takim momencie, kiedy jest dosyć trudno niwelować działalność pączków z marcepanami.

— Wiesz Ziuto, żeś ty się bardzo roztyła. To wcale nie wypada, żeby panna była taka tęga.

Takie powiedzenie, to nóż w serce. Skończone piękne, beztroskie, słodkie dni. Panna Ziuta się odtłuszcza. Panna Ziuta nie jada... a ma taki apetyt na czekoladki.

Ale taka tragedja panieńska odbija się na niej samej. Rodzice się trochę martwią, ale nikt nie cierpi wyraźnie.

Gorzej, o, znacznie gorzej, gdy pani Lili idzie kupić sobie jakiś model, a w żaden z nich, przy najlepszych chęciach i największych wysiłkach zmieścić się nie może.

Biada jej domowi! Wraca z modelem, tym przyciasnym, który jednak włoży, gdy schudnie. Bo co do tego, że schudnie, nie ma żadnych wątpliwości.

— Od dzisiaj — informuje męża—niema zup ani legumin. Niema kartofli, ani klusek. Niema przekąsek, bo zaostrzają apetyt.

Żaden bunt męża nie pomaga.

— Jeżeli ja muszę zeszczupleć, to ty także możesz nie tyć. Napewno pójdzie ci na zdrowie — decyduje żona.

W momentach chudnięcia ujawnia się charakter kobiety. Mężczyźni odsłaniają swoje strony charakteru przy kartach, a panie w ciężkich chwilach zmagania linji z łakomstwem.

Są kobiety nieubłagane, których nie skusi żadna sardynka, pasztet, ser.

Są kobiety, które słabną na widok kremu.

— Jeden, jedyny raz nie może mi zaszkodzić — tłomaczy się przed sobą.

A po tym jednym następuje i drugi i trzeci krem, i cała praca na marne i trzeba zaczynać na nowo.

Są kobiety, które chudną jawnie, i wszystkim opowiadają, że nie jedzą tego ani tamtego, bo muszą zeszczupleć.

Są kobiety, które znoszą męki głodowe i sportowe (warszawianki nielubią sportów, uważają to albo za szyk i dowód „rasy", albo za środek do — linji), a udają, że wcale nie pragną zeszczupleć, bo są z siebie (nietylko one) zadowolone.

— Jak pani zeszczuplała!?!

— Doprawdy? — mówi zdziwiona — wcale tego nie zauważyłam. Nic nie robię, żeby zeszczupleć.

Mówi to zupełnie obojętnie, a od miesiąca nie jadła masła, bułki, zupy, ciastka i dwa razy dziennie chodzi z Mokotowa na Pragę.

To jest typ pionierki, wytrwałej, niezmordowanej bojowniczki linji.

Czy jest jakiś pewien dobry środek na chudnięcie?

Może zmartwienie.

Ale tyle kobiet się martwi, że nie schudło i to nic nie pomaga. Tyle kobiet się martwi, że ich przyjaciółki schudły i to też nie pomaga. Martwią się też kobiety, że nie mają samochodów, brylantów, futer i to też nie wpływa na tuszę.

Może lekarstwa.

Ale po lekarstwach można się łatwiej nabawić jakiejś choroby, niż stracić tuszę.

Więc jaki jest środek radykalny, któryby nie wymagał odmawiania sobie najlepszych kąsków w życiu, nieustannej uwagi i wagi.

Człowiek, który rozwiąże to zadanie...

Nie wiem doprawdy, jaki los spotka tego człowieka.

H. Jel.



Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY PARLAMENTARNE.

O naprawie skarbu i reformie walutowej radził Sejm i przyznał wszystkiemi głosami przeciw mniejszościom narodowym specjalne pełnomocnictwa dla rządu. Pierwszy krok na drodze ku lepszej przyszłości zrobiony.

Przyszedł moment, kiedy musimy zabezpieczyć nasz byt polityczny, w rozmiarach należytych. Musimy wszystko, co mamy do dania, dać, ażeby doprawdy równowaga nastąpiła. — Tak zakończył premier Grabski swe wywody wśród oklasków Izby. Byle zapał nie był słomiany.

Ustawę o obowiązkowem stosowaniu wskaźnika zmian kosztów utrzymania do regulowania płac zarobkowych uchwalił Sejm, co przyczyni się niewątpliwie do złagodzenia konfliktów w przemyśle.

Sejm odroczył narady do 28 stycznia. Marszałek Rataj pochwalił go za wydatną pracę i ofiarność w ciągu ostatniego roku.

RZĄD POLSKI.

Poseł Zamoyski, po odbyciu szeregu konferencji w Warszawie, wyraził swą zgodę na objęcie teki ministra spraw zagranicznych.

Symbolem definitywnego uregulowania stosunków między Polską i Rosją było złożenie w Belwederze nowych listów uwierzytelniających przez Leonidasa Oboleńskiego, nadzwyczajnego posła i ministra pełnomocnego S. S. S. R.

Wzrost drożyzny za drugą połowę grudnia ustaliła komisja statystyczna na 62,6 procent, a za cały miesiąc na 171,36 procent. Trzeba będzie niebawem zacząć drukować miljardowe banknoty.

SPRAWY POLSKIE.

Waloryzacja wedle franka złotego staje się hasłem życia. Waloryzuje rząd, samorząd, przemysł, kupcy. Tylko pracująca inteligencja daremnie czeka na zwaloryzowanie swych skromnych dochodów.

Z powodu podróży gen. Hallera do Ameryki wniosła P. P. S. interpelację, jaki był charakter pobytu generała w Ameryce, a jeżeli oficjalny, czy sprostał zadaniu.

Zmniejszenia liczby posłów sejmu gdańskiego domaga się frakcja narodowo-niemiecka. Czyżby obcięciem połowy zamyślała zmniejszyć polską reprezentację?

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Naprężenie między Jugosławią a Bułgarją z powodu mowy Czankowa złagodniało. Chmury, grożące wojenną zawieruchą, znikają z bałkańskiego widnokręgu.

Konferencja Małej Ententy w Białogrodzie omówi sytuację polityczną Środkowej Europy, sanację finansową Węgier i sprawę uznania Rosji sowieckiej. Sensacje polityczne nie są oczekiwane.

Benesz wyjechał do Białogrodu na narady Małej Ententy, a stamtąd udaje się zaraz do Londynu. Na tytuł „komiwojażera politycznego" coraz sumienniej zasługuje.

Wybory do senatu francuskiego nie sprowadziły większych zmian w ugrupowaniach stronnictw. Poincaré i Bourgeois zdobyli fotele senackie wśród entuzjazmu wyborców.

Najnowsze mody paryskie.



Suknia wieczorowa a la crinoline z czarnej satyny.

Gabinet Baldwina przeżywa ostatnie dni. Do steru rządów przyjdzie napewno Labour Party. Obawa przed jej gospodarką skłania część kapitałów angielskich do ucieczki poza Ocean.

Grecja wypowie się drogą plebiscytu, czy chce być republiką czy monarchją, a w tym ostatnim wypadku czy chce utrzymać obecną dynastję, czy powołać nową. Venizelos jest gorącym poplecznikiem plebiscytu.

Były car Ferdynand Bułgarski chce powrócić do kraju jako zwykły obywatel. „Królowie — obywatele" zastępują „królów na wygnaniu". Co bezpieczniejsze dla ich krajów — niewiadomo.

Litwa Kowieńska ściga listami gończemi swego b. ministra spraw zagranicznych ks. Purytkisa, który od dłuższego czasu prowadzi tajemnicze pertraktacje w Berlinie. Sytuacja nieco operetkowa.

RÓŻNE.

Zamiecie śnieżne utrudniły ruch kolejowy osobowy, a zwłaszcza towarowy. Obok widma drożyzny staje groźba braku artykułów pierwszej potrzeby.

Mrozy i śniegi dokuczają dotkliwie Włochom, a jednocześnie trzęsienia ziemi niepokoją wybrzeża Adrjatyku.

Z KALOTECHNIKI.

Rozpoczynamy na łamach „Świata" drukowanie książek naukowych pogawędek z dziedziny kosmetyki leczniczej. Prowadzić je będzie z naszymi czytelnikami obecny Lekarz „Kalotechniki", mający za sobą szereg lat doświadczenia naukowego i praktycznego. W miarę możności jaknajprościej będą rozpatrywane zjawiska, które każdego inteligentnego człowieka interesują, a będą traktowane naukowo i bezstronnie, wobec czego wykluczona jest jakakolwiek reklama, która niejednokrotnie wyzyskuje zaufanie albo naiwność klijenta. — Będą również w „Świecie drukowane odpowiedzi z poradą lekarską na listy adresowane: Do Doktora „Kalotechniki" ul. Marszałkowska, 116, w Warszawie. Pierwszą pogawędkę rozpoczynamy w najbliższym numerze „Swiata".

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI. Druk Galewski i Dau, Warszawa.

NOWE WYDAWNICTWA.

„PĄTNIK KARAPETA".

Rewolucja bolszewicka zmusiła wielu polaków do przygód mimowolnych, choć znalazły się również jednostki o innym nastroju ducha. Naogół jednak polacy waśń domową rosyjską uważali za sprawę obcą. Dziwną wydać się ona musiała tembardziej polakom z innych zaborów. P. Ferdynand Goetel na chorobę organizmu społecznego rosyjskiego patrzył oczyma b. oficera armji austrjackiej, który przy rozgromie swojego pułku dostał się do niewoli. Jako jeńca odesłano go do południowej Syberji. Traktowano nie przez przynależność narodową, lecz państwową. P. Fr. Goetel odszukał w niewoli polaków i w polu widzenia swojego zwracał baczną uwagę na ludzi z swego środowiska. Książki jego są więc poniekąd wskaźnikiem, co czuli i myśleli polacy na południu Syberji przy granicy turkmeńskiej, gdy złośliwy los ogarnął całą dawną, carską Rosję czarną ospą anarchji społecznej.

Opowiadania p. Ferdynanda Goetla zaciekawiają przytem przedewszystkiem tłem swojem egzotycznem. Bohaterowie jego powieści przedzierają się przez Afganistan Bucharę, Indje. Życie ich jest nieustannie na łasce losu. Czyhają na nich bolszewicy, jako na białogwardzistów, mają na oku i różni bandyci bez płaszczyka ideowego, chcący się pożywić jaką taką zdobyczą. Wartość więc z tego właśnie względu beletrystyki p. Goetla jest bardzo duża. Nie znaczy to, by artyzm jego pióra osiągał jakieś niezwykłe finezje. Utwory p. Goetla pisane są potoczyście, żywo, ale i na tem wyczerpują się kwalifikacje artystyczne. Niektóre tematy, jak np. „Komisja", pod piórem artysty pisana mogła się stać arcydziełem. P. Goetel daje tylko malowidło rodzajowe.

W obecnie wydanym tomie jego opowiadań znajdujemy cztery utwory: „Pątnik Karapeta". „Kos na Pamirze", „Komisja" oraz „Samson i Dalila". Każde z tych opowiadań naracyjnie zaciekawia. Bo też i niezwykłe wydarzenia są zamknięte w tych utworach! Najbardziej przykrą dla naszego ucha jest makabryczna melodja Samsona i Dalili. Opowiada ona dzieje jakiegoś Franka z Woli, który po 1905 roku dostał się na Syberję a podczas przewrotu bolszewickiego został „cud-bohaterem" rewolucji. Ten polski opryszek, odpruwający futrzane kołnierze zamordowanym przez siebie ofiarom, jest odrzucający, wstrętny. Nie rehabilituje go zupełnie późniejsza opieka nad dziećmi zamordowanego właściciela kołnierza. Opowiadanie to mówi tylko o zdziczeniu, do jakiego człowiek mógł przyjść w te lata tragedji i grozy. We wszystkich innych opowieściach tego tomu pierwiastek ten został podkreślony. Nie dotyka on jednak tak bezpośrednio polaka i przez to może nie jest tak bolesny, jak w „Samsonie i Dalili".

Nowy ten tom opowiadań z dziejów wygnania i niewoli p. Fr. Goetla jest książką, która wśród czytelników znajdzie bardzo licznych i wiernych przyjaciół.

LITERATURA POLSKA OD POCZĄTKÓW DO POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Ukazał się tom trzeci Gabrjela Korbuta „Literatury polskiej od początków do powstania styczniowego". Książka ta zawiera materjał informacyjny od lat 1820—1863. Na końcu zamieszczono dodatek, obejmujący lata 1863—1900. Praca ta wywołała sprzeczne opinje wśród sprawozdawców. Zawodowi badacze dziejów naszego piśmiennictwa znaleźli się w opinjach swoich zgodni z prof. G. Korbutem. Poważna krytyka literacka mimo pewnych zastrzeżeń, nieodłącznych zresztą przy każdej większej pracy, podniosła niezwykłą erudycję, dobrą wolę i metodę bibljograficzną. Znalazły się pewne błędy faktyczne, ale trudno jest ustrzedz się ich przy opracowywaniu dzieła, będącego prawie bez precedensów. Prof. Korbut korzystał niewątpliwie z Estreicherowskiej bibljografji. Samodzielność swoją wykazał, już to włączając do swojego Katalogu nowych autorów lub też nowe dzieła.

I dlatego dzieło to należy przyjąć z wdzięcznością, nie oglądając się zbytnio na zbyt młodociane sądy niektórych bibljografów. Odnalazłszy jakąś nieścisłość, wszczynają oni alarm, który właśnie dąży nie tyle do poprawy dzieła Korbuta, ile do stworzenia sobie reputacji naukowej.

Książka podręczna informacyjna prof. Korbuta dla studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego ostoi się i przed temi ambitnemi planami. Daje ona klucz do wielu poczynań, tak naukowych, jak i pedagogicznych.

PODKAPITAN RYBNIKOW.

W wydawnictwie „Książki Ignisa" dano w przekładzie p. Janusza Jędrzejewicza znaną opowieść Aleksandra Kuprina pt. „Podkapitan Rybnikow". Opowieść ta jest bardzo charakterystyczna dla życia petersburskiego podczas wojny japońskiej. Maluje ona bohaterstwo domniemanego podkapitana Rybnikowa, który podobno jest wywiadowcą japońskim. Przedostaje się on do biur rządowych, do kancelarji sztabowych, rej wodzi wśród reporterów i dziennikarzy rosyjskich. Zewnętrznie podkapitan Rybnikow nie budzi podejrzeń. Jest wprawdzie podobny do Kałmuka, lecz podobieństwo to nie wyklucza jego rosyjskiego pochodzenia. Podejrzenia budzi on dopiero w pewnym feljetoniście p. Szczawińskim, który lubi obserwować stronę obyczajową życia. Podkapitan Rybnikow mówi niemal samemi przysłowiami. Akcent jego nie zdradza również obcości. Feljetonista w pewnej chwili wątpić poczyna w swoje niezawodne oko. Lecz.. mocne, żelazne nerwy wywiadowcy japońskiego nie wytrzymują do końca. I cóż go zdradzi?

Opowiadanie to nie byłoby dziełem Kuprina, gdyby nie znalazła się w niem choć jedna stronniczka z Zamtuza. Pisarz ten wyspecjalizował się w tym temacie. I tu więc „Podkapitan Rybnikow" znajdzie się w pewnej chwili w Zamtuzie w wesołem towarzystwie dziennikarzy, podprokuratora, aktora. Zdradzi go dziewczyna, którą obdarzył swojemi pieszczotami. Znużony całonocną libacją, uśnie. Podczas snu zacznie mówić w niezrozumiałym języku. Wymknie mu się słowo „banzaj". Ten okrzyk zna nawet prostytutka i wie, w jakim języku jest wypowiedziany.

Opowiadanie o „Podkapitanie Rybnikowie" jest bardzo charakterystyczne dla psychologji rosyjskiej. Charakteryzuje ono również znakomicie twórczość Kuprina, słynnego autora „Jamy". Przekład p. Jędrzejewicza daje ekwiwalent rosyjskiego tekstu.

„PIERWSZE OPOWIADANIA" BOLESŁAWA PRUSA.

W nowej edycji ukazały się obecnie „pierwsze opowiadania" Bolesława Prusa. Na tom ten złożyły się takie utwory, jak „Przygoda Stasia", „Antek", „Powracająca fala", „Michałko" i „Sieroca dola". Tom ten nadaje się świetnie dla celów popularyzacyjnych. Warto jest jednak przypomnieć sobie jego treść, nawet gdy utwory te są komuś znane. Towarzystwo pism Bolesława Prusa działa bowiem zawsze podniośle i krzepiąco na człowieka.

NOWY ZESZYT „PRZEGLĄDU WARSZAWSKIEGO".

Ukazał się zeszyt listopadowy znanego miesięcznika literackiego pt. „Przegląd Warszawski". Miesięcznik ten wychodzi obecnie pod redakcją dr. Mieczysława Tretera. Nie zmienił jednak swojej szaty zewnętrznej, nie znać też na treści, by poczyniono jakieś reformy od czasu redakcji p. Borowego czy p. Kołaczkowskiego. Zeszyt ten zawiera prace następujące: Stefana Kołaczkowskiego: Liryka refleksyjna Kasprowicza". Tadeusza Kotarbińskiego „O sposobach prowadzenia sporów", Aurelego Drogoszewskiego „Zapomniana pieśń o wolności". Jana Nepomucena Millera „Od indywidualizmu do uniwersalizmu", Romana Dyboskiego „Goethe i nowa epoka" oraz Alfreda Lauterbacha „Nagrobek Bolesława Śmiałego w Osiaku". Z utworów artystycznych mamy wiersze p. K. W. Trojana pt. Mon art poetique" i przekład p. Z. Czernego z K. Maurrasa pt. „Mowa na pochwałę dwoistej mocy morza". W kronice p. Manfred Kridlomanio najnowsze dzieła z dziedziny historji literatury, p. Marjan Zdziechowski daje ciekawa recenzję pracy p. Lednickiego o Vigny'm i t. d.

Na czoło treści tego zeszytu bezwzględnie wysuwa się dojrzała, tęga praca prof. Dyboskiego. Swiatły ten pisarz o rozległych horyzontach myślowych potrafi z każdego swojego artykułu zrobić ewenement. Powinna też zaciekawić „Zapomniana pieśń o wolności" Aurelego Drogoszewskiego. Inne prace tego zeszytu często grzeszą zbytnią nauczycielskością opracowania i ujęcia tematu. Nadawałyby się przeto raczej do jakiegoś przeglądu pedagogicznego w dziale krytyczno-literackim, nie do pisma o czystych tendecjach literackich.

PRZEGLĄD HUMANISTYCZNY.

Zwolna, szczebel po szczeblu, grządka po grządce odbudowuje się nasze życie kulturalne. Katastrofa walutowa wcale nie sprzyja zamierzeniom artystycznym czy naukowym. Życie jednak jest mocniejsze od tych złych konjunktur. Mimo przeszkód ludzie wiążą rwące się poczynania i potrafią nawet na takiem nieustannem wirowisku, jak życie nasze zbiorowe, budować rzeczy realne, pozostające.

Mamy przed sobą kwartalnik naukowy pt. „Przegląd humanistyczny", wychodzący pod redakcją prof. Wiktora Wąsika w Warszawie od lat dwu. Pismo to specjalne, dla fachowców i dla ludzi wyższej kulturze umysłowej. Wydawałoby się więc, iż jest skazane na niepowodzenie. Bo nauczyciel—fachowiec niema za co abonować pisma, a inteligentny czytelnik wogóle jest u nas rzadkością, również kiepsko materjalnie sytuowaną. A jednak mimo to pismo rozwija się i z zeszytu na zeszyt wykazuje coraz lepszy dobór materjału. W numerze, który mamy przed sobą, zamieszczono następujące prace: M. Albińskiego „Stan badań psychoanalitycznych w zakresie twórczości literackiej". A. Szymankiewicza „Z historji modernizmu w literaturze polskiej", Z. Doberski „Lampa Akermanu", T. Sinki „O charakter czy przekład Ilja, dy", S. Pilch „Nowe przekłady Platona" M. Maykowski „Styl tragiczny Tacyta". W. Porzeziński „O t. z. częściach mowy słów kilka", oraz A. Zieleńczyka „Podwójne oblicze filozofji greckiej".

„Przegląd humanistyczny" wychodzi nakładem zasłużonej „Książnicy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych."

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	80.—	40.—	20.—	10.—	6.—
II „	60.—	30.—	15.—	7.50	4.—
III „	60.—	30.—	15.—	7.50	4.—
IV „	80.—	40.—	20.—	10.—	6.—
W tekście	120.—	60.—	30.—	16.—	8.50
Przed romansem	90.—	45.—	22 50	15.—	8.—

STRONA OPISOWA: Złp. 120.—FOTOGR. I KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. I KOMUNIKATY za 1 m/m 20 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 25 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Tel. 47-25. Konto czekowe P. K. O. № 3755
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
„Czytaj" Dzielna 2.

à CONTO PRENUMERATY na miesiąc Styczeń mk. 3.000.000.
20 stycznia obowiązuje dopłata do ustalonej ceny.
Numer pojedyńczy Mk. 900.000.—

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA